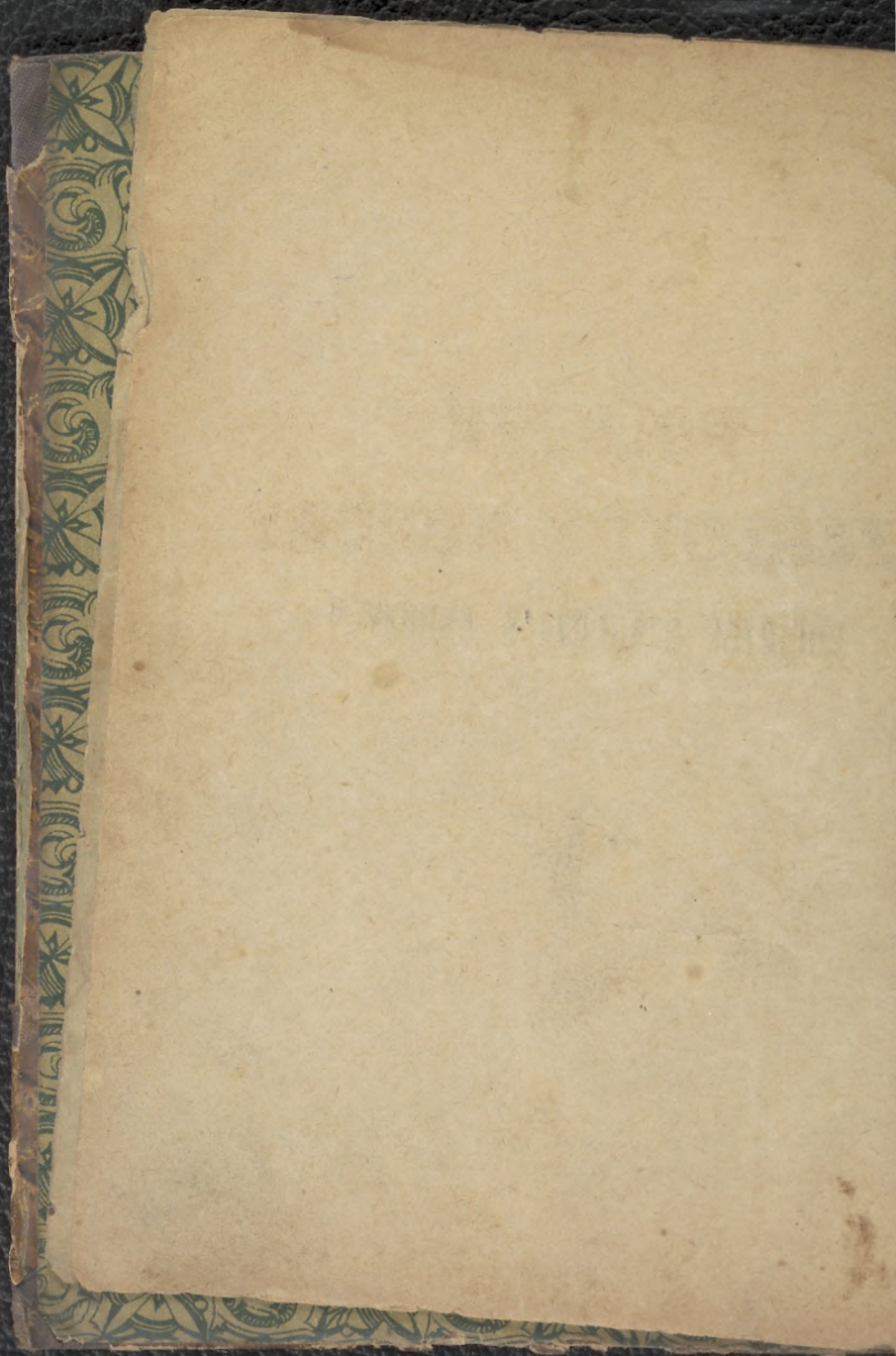


POLICZEK SZARLOTT'Y KORDAY



ALEKSANDER DUMAS
(OJCIEC).

**POLICZEK
SZARLOTT'Y KORDAY**

(JEDEN DZIEŃ W FONTENAY-AUX-ROSES)



SKŁAD GŁÓWNY
W STOWARZYSZENIU PRACOWNIKÓW KSIĘGARSKICH
Spółka z ogr. odp.

MILKRAUER, DIM

POLICZEK

SZARLOTTY KORDAY

(DIEB OEFEN W FORSTEN AU ROSEN)



3.104.549



2019 d 4888

Druk Zakładów Drukarskich W. Piekarniaka. Ordynacka 3.

WSTEP.

Mój drogi Vernon!

Tobie zawdzięczam wielce pochlebne dla mnie zdanie, że jestem jednym z najdowcipniejszych i najciekawszych narratorów, jakich opowiadania kiedykolwiek słyszałeś.

Obecnie zwracasz się do mnie o napisanie kilku opowieści, któremi można byłoby przeplatać godziny doby obecnej, pełne politycznych nowinek.

Życzeniom twoim czynię zadość, ale, niestety, mój przyjacielu, muszę cię zawczasu uprzedzić, że opowiadania moje nie będą wesołe. To też powinienieś ostrzec wszystkie matki, aby córki nie czytały tych historii.

Najbardziej mi żal rzeczy minionych. Spojrzeniem, rzuconem w przeszłość szukam tego pokolenia, które zgasło i znikło, a wraz z niem zamarł świat fantastycznych przygód, będących treścią niniejszych opowiadań.

Obcując wiele z umarłymi i pozwalając sobie na zażyłość z duszami potępionych, pragnę wskrzesić owych mężów, którzy otaczali się zapachem ambry, zamiast dymem cygar, i którzy porachunki

swe załatwiali mistrzowskiem pchnięciem szpady,
zamiast uderzeniem pięści.

Dlatego nie dziw się, że posługuję się stylem,
trochę wyszłym z mody, i że słowa moje są echem
przeszłości tak mało znanej i tak szybko zapomnianej.
Resztę pozostawiam twemu uznaniu.

Szczerze życzliwy
Aleksander Dumas.

Do Jego Królewskiej Wysokości
Księcia de Montepensier!

Najdostojniejszy Panie!

Książka niniejsza została poświęcona Waszej Królewskiej Wysokości i z tą myślą była pisana.

Jak wszystkie podniosłe umysły, tak i Wasza Królewska Wysokość jest zdania, iż niema niemożliwości. Istotnie, niemożliwość — to tylko nieznanym jeszcze fenomen przyszłości. Wszak każde wielkie odkrycie uważane było długi czas za niemożliwość.

Taką niemożliwością aż do końca wieku piętnastego była Ameryka, a do końca wieku szesnastego — orbita ziemi. Wykorzystanie pary, jako siły, poczytywano za niemożliwość, aż do początku dziewiętnastego stulecia.

Te trzy niemożliwości, nie tylko stały się materialną rzeczywistością, lecz ponadto utożsały się z trzema imionami ludzkiemi.

Oto one: Krzysztof Kolumb, Galileusz i Fulton.

Wprawdzie pragniemy ziszczenia marzeń w śmierci, zamiast w rzeczywistości życia, pogrążamy się w mrok grobowy, zamiast iść wśród jasności świata, i uciekamy się do wiary — tego światła bożego — zamiast do światła ziemskiego — wiedzy.

Ale, czy drogę śmierci zaludniają duchy, a w drodze do nieba unoszą się anioły?

Ale, czy człowiek jest samotnym w próżni stworzeniem, które za życia nie ma styczności z niebem, a po śmierci staje się nicością? Czy może człowiek jest zgoła realnym ogniwem, łączącym dwa światy i widzialny i nadzmysłowy?

Czy przed nami było coś z nas i czy coś pozostanie z nas? Czy owo coś, poprzedzające naszą egzystencję, posiadało nasze namiętności i czy po nas przypomni je sobie? Czy wreszcie to „coś“ może kształtować się, lecz być niedotykalne i przejawiać się w działaniu spostrzeganiem, lecz niematerialnym?

„Oto pytanie“, jak mówi Szekspir, ten potężny czarodziej, który potrafił zwycięsko rozwiązać trudną sprawę wywołania duchów Banka i Hamleta.

Szeherazada snuła swe opowieści, aby skrócić noc samarkandzką, ja zaś będę opowiadał Waszej Królewskiej Wysokości, aby skrócić długie dni w Sewilli.

Aleksander Dumas.

I.

Ulica Djany w Fontenay-aux-Roses.

1 września 1831 r. zaprosił mnie mój przyjaciel, bym razem z nim i jego synem rozpoczął sezon polowania w Fontenay-aux-Roses.

Ponieważ byłem zapalonym myśliwym, więc teren łowów miał dla mnie duże znaczenie.

Dotychczas zwykliśmy urządzać polowania na obszarach należących do pewnego dzierżawcy, przyjaciela mego szwagra; tego jednak roku wołałem przyjaciela zaproszenie starego kolegi, wiedząc, iż również w Fontenay-aux-Roses obfitują w ówce, niska, pełne zajęcy, i w łany koniżyny, pełne kuronaty.

W podróż wybrałem się o szóstej wieczorem. Minawszy ulicę Tombe-Issoire,jechałem ulicą Orleańska.

Jak wiadomo Issoire był głównym bandyta, grasującym w tych okolicach za czasów Juliana. O ile mi wiadomo, zakończył swój żywot na stryczku i został pochowany w miejscu, które nosi teraz jego nazwisko.

Równina, ciągnąca się aż do Petit - Montrouge przedstawia szczególny widok. Wśród łąk i uprawnych zagonów wznoszą się białe, kamienie czworok-

boki, na których obsadzone jest zębate koło, posiadające na swoim obwodzie poprzeczne deszczułki. Deszczułki te naciska to jedną, to drugą nogą jeden człowiek i w ten sposób wprawia w ruch całą maszynę, na którą składa się jeszcze lina, ciągnąca w górę z głębi kamieniołomu wyciosany kamień.

Pod kamień, wydobyty zapomocą haka, przytwierdzonego do liny, podsuwa się drewniane okraglaki i toczy się go na miejsce przeznaczenia. Następnie linę spuszcza się w dół po nowy ciężar i wtedy człowiek obsługujący windę ma chwilę odpoczynku, dopóki okrzyk z dołu nie zawiadomi go, że koło trzeba obrócić.

Czyniąc za każdym obrotem koła jeden krok, ów człowiek robi na miejscu dziesięć mil, a jest to tak duża droga, że po upływie 23 lat mógłby zejść na księżyc.

Równina, którą przejeżdżałem, przybiera wczorazem fantastyczny wygląd, do czego przyczynia się owe koło, obracane przez człowieka w świetle zachodzącego słońca.

Kamieniołomy rozszerzają się z każdym dniem. Są one dalszym ciągiem katakomb, na których spoczywa stary Paryż, i stanowią podziemne przedmieścia. Mieszkańcy tych podziemi prowadzą odrębny tryb życia, mają osobliwy wygląd i inną jakąś naturę. Przebywanie w mroku zbudziło w nich instynkty nocnych zwierząt — są dzicy i małomówni. Nieraz daje się słyszeć o nieszczęśliwych wypadkach w kamieniołomach: to słup, podtrzymujący sklepienie, załamał się, to lina pękła i zabiła człowieka. Na powierzchni ziemi uważa się to za nieszczęśliwy wypadek; na trzydzieści stóp pod ziemią wiadomo, że dokonano zbrodni.

Do Fontenay przybyliśmy o pół do dziewiątej. Po doskonałej kolacji czekał nas spacer.

O ile Sorrento można nazwać gajem pomarańczowym, to Fontenay bukietem róż. Różami otoczony jest tu każdy dom, powietrze przesycone jest różanym aromatem, płatki róż za najłżejszym powiewem sypią się na drogę, jakby sam Bóg święcił uroczystość Bożego Ciała.

Nazajutrz zbudzono nas o piątej rano i udaliśmy się na polowanie pod przewodnictwem syna gospodarza, który nie znajdował dość słów na wystawianie mnogości zwierzyny w tej okolicy.

Aliści do południa udało nam się upolować jednego królika i cztery kuropatwy, z których dwie postrzeliłem sam. Gdzieindziej w tym samym czasie zwykle miałem ze cztery zające i do dwudziestu kuropatw.

Jak już wspomniałem, lubię polowanie, ale nie mogę znieść długiego włóczenia się, zwłaszcza po polach. To też pod pozorem zbadania łanu koniczyny, gdzie byłem pewny, iż nic nie znajdę, oddaliłem się od towarzystwa i zniknąłem im z oczu.

Na zegarze była pierwsza, gdym idąc wąwozem, dotarł do pierwszych domów Fontenay-aux Roses.

Wkrótce, idąc wzdłuż muru, otaczającego jakąś piękną posiadłość, znalazłem się na skrzyżowaniu ulic Djany i Głównej. Nagle ujrzałem idącego wprost na mnie jakiegoś osobnika, który miał tak dziwny wygląd, że przystanąłem i instynktownie odwiódłem kurek strzelby.

Lecz człowiek ów, blady, z dziko patrzącymi oczami, z najeżonym włosem, w ubraniu poszarpanym i z zakrwawionymi rękoma, nie dostrzegł mnie i poszedł dalej. Spojrzenie miał mętne i szedł z gwałtowną szybkością, a jego krótki urywany oddech znamionował raczej trwogę, niż wysiłek.

Z ulicy Głównej skręcił w ulicę Djany i dobiegł do bramy opatrzonej numerem drugim. Pociągnął gwałtownie za dzwonek, poczem, jakby mu sił zabrakło, osunął się na jeden z dwu olbrzymich głazów, podpierających bramę. Zwiesiwszy głowę i opuściwszy ręce, pozostał, jak martwy.

Zaciekawiony, cofnąłem się, aby zbliższy obserwować tego człowieka, który, zdaniem mojem, był bohaterem jakiegoś strasznego dramatu.

Razem ze mną ukazało się na ulicy kilku ludzi, niektórzy przychodzili z domów, zwabieni niezwykłym widokiem.

Prawie jednocześnie na dźwięk szarpniętego dzwonka otworzyła się mała furtka obok bramy i wysunęła się z niej kobieta w wieku około 40 lat.

— Ach, to wy Jacquemin? — rzekła z pewnym zdziwieniem. — Co was tu sprowadza?

— Czy zastałem mera? — zapytał ochryply głos.

— Owszem.

— To dajcie mu znać, matko Antonino, że zabiłem żonę i chcę się oddać w ręce policji!

Kobieta wydała okrzyk zgrozy, któremu zawtórowały głosy obecnych. Ja sam cofnąłem się o krok i oparłem o pień drzewa. Wszyscy z przerażenia zdrętwieli.

Morderca osunął się na ziemię, jakby po tem krótkim wyznaniu zabrakło mu sił.

Matka Antonina zniknęła, pozostawiwszy furtkę otwartą.

Po chwili ukazał się mer w towarzystwie dwóch ludzi. Stanawszy naprzeciw mordercy, zaczął przyglądać mu się badawczo.

Wsparty o pień drzewa na ulicy Głównej widziałem doskonale wszystko, co się działo na ulicy Djany. Opodal stała grupka trzech osób: mężczyz-

ny, kobiety i dziecka, które prosiło, by je wziąć na ręce. Z okna na pierwszym piętrze wysunął głowę jakiś piekarz i wypytywał stojącego na dole terminatora, czy osobnik, który niedawno biegł tędy, jest Jacquemin'em, robotnikiem z kamieniołomu. Nie co dalej przed kuźnią stanął kowal, z przodu czarnej, z tyłu oświetlony blaskiem ogniska, podniecanego przez wyrostków, dmających w miech. Scenę tę przedstawiała ulica Główna.

Ulica Djany zaś, wyjawszy opisane wyżej osoby przed domem Nr. 2, była pusta. Jedyne w dali, na końcu jej, ukazało się dwóch konnych żandarmów, zbliżających się spokojnie w tę stronę.

Zegar wybił kwadrans po pierwszej.

II.

Ulica Sierżantów.

Z tem uderzeniem zegara zmieszały się słowa méra.

— Jacquemin! Matka Antonina zakomunikowała mi jakąś brednię. Podobnoś zamordował swą żonę?

— Tak, panie merze. — jęknął morderca. — Wsadźcie mnie do więzienia i osadźcie prędko.

Rzekłszy to, chciał wstać, wsparty łokciem o kamień. Był jednak tak wyczerpany, że osunął się znowu na ziemię, jakby miał nogi połamane.

— Co za głupstwa pleciesz! — zawołał mer.

— Spójrz pan na moje ręce! — przekonywał tamten, ukazując dwie umazane krwią ręce o palcach zakrzywionych, jak szpony.

Jednocześnie zbliżyli się konni żandarmi i zaczęli mierzyć badawczem spojrzeniem bohatera tej sceny.

Na dany przez mera znak ręką, zeskoczyli z koni i podeszli do Jacquemina, podnosząc go z ziemi. Uległ im bez oporu, jak człowiek, któremu poza jedną tylko myślą wszystko jest obojętne.

W tej chwili zjawił się komisarz policji i lekarz, na których widok mer zawołał:

— Panie Robert i panie Cousin, chodźcie prędko, specjalnie posłałem po was!

Robertem był lekarz, Cousin'em komisarz.

— Cóż tam nowego? — zapytał lekarz, nie tracąc wesołej miny. Drobne zabójstwo, co? he? — zwrócił do mordercy.

Ten milczał.

— No, no, ojcie Jacquemin, gadajcie prawdę! — indagował lekarz. — Zamordowaliście żonę, co?

Jacquemin znowu nic nie odpowiadał.

— Mówi, że chce się oddać w ręce władzy, — rzekł mer. — Ale mam wrażenie, że człowiek ten jest chory na umyśle i przypisuje sobie jakąś urojoną winę.

— Jacquemin, proszę odpowiadać! — zawołał komisarz. — Więc zamordowałeś swą żonę?

Indagowany ciągle milczał.

Wówczas odezwał się lekarz Robert:

— Czekajcie, panowie! Dowiemy się prawdy w inny sposób. O ile wiem, Jacquemin mieszka przy ulicy Sierżantów.

— Tak jest! — potwierdzili żandarmi.

— Wobec tego, panie Ledru, — zwrócił się doktor do mera, — chodźmy na ulicę Sierżantów.

— Ja tam nie pójdę, nie chcę! — krzyknął Jacquemin, wrywając się gwałtownem szarpnięciem z rąk żandarmów,

— Dlaczego nie pójdziesz? — zapytał mer.

— POCO tam iść, kiedy mówię prawdę, że ja zamordowałem! Zabiliśmy ją tym mieczem, co to

zeszłego roku wziętem ze składu artylerji. Chce iść prosto do więzienia i tam mnie zaprowadźcie, nie do domu!

— Mój kochany, — oznajmił komisarz policji, — musimy cię sprowadzić na miejsce przestępstwa, gdyż musisz wziąć udział w oględzinach sądowych.

— Co wy ze mną robicie? — zawołał przerażony Jacquemin. — Gdybym wiedział, że tak będzie, to . . .

— No mów, mów! — nalegał Cousin.

— Byłbym i sobie życie odebrał.

Mer poruszył głową i zamienił z komisarzem mrugnięciem oka, jakby zauważył:

— Ha, coś w tem jest.

Poczem zwrócił się do mordercy:

— Czy powiesz wreszcie, co to wszystko znaczy?

— Powiem panu wszystko, panie merze, niech mnie pan tylko pyta.

— A wiec dlaczego nie masz odwagi powrócić do swej ofiary. skoro miałeś odwagę zamordować ją? Czy zdarzyło się coś, czego dotąd nie wyznałeś?

— O tak. rzecz okropna!

— No wiec mów!

— O nie! powiedziałby pan, że kłamie, że jestem szalony!...

— Mniejsza o to! mów!

— Powiem panu, ale tylko panu.

Zbliżył się do pana Ledru. Żandarmi chcieli go zatrzymać, lecz mer skinął, by puścili więźnia.

Nie myślał i tak o ucieczce, gdyż połowa ludności Fontenay - aux - Roses zapchała ulice Djany i Główną.

— Czy może pan uwierzyć, panie Ledru, — zapytał Jacquemin tajemniczo, — że głowa odcięta może mówić?

Pan Ledru wydał ckrzyk i pobladł mocno.

— Czy wierzy pan w to? powiedz pan! — nalegał Jacquemin.

Mer odpowiedział z trudem:

— Tak, wierzę w to.

— A więc, — — a więc — — ona przemówiła!

— Kto?

— Głowa — — głowa Joanny!...

— Co pan plecie?

— Mówię panu, miała oczy otwarte; poruszała wargami; spojrzała na mnie i zawołała: „Nędzniku!“

Mówiąc te słowa, które chciał wyznać samemu panu Ledru, lecz które wszyscy słyszeli, miał minę pełną zgrozy.

— Oho, piękna historia! — zawołał doktor, śmiejąc się. — Odcięta głowa mówiła! to dobre... dobre!

Jacquemin rzekł odwracając się:

— Ależ zapewniam pana, że tak!

— A więc, — wtracił komisarz policji — jest to jeszcze jeden powód więcej, by udać się na miejsce zbrodni. Żandarmi, prowadźcie więźnia!

Jacquemin zaczął się szarpać gwałtownie

— Nie! — krzyczał — możecie mię porąbać na kawałki, jeśli chcecie, a tam nie pójdę!

— Chodź, przyjacielu! — rzekł pan Ledru. — Jeśli istotnie popełniłeś tę straszną zbrodnię, będzie to początkiem pokuty. Zresztą opór nie zda się na nic, — dodał półgłosem, — jeśli nie pójdziesz dobrowolnie, to cię zaprowadzą siłą!

— A więc dobrze, pójdę! — jęknął Jacquemin, — ale niech mi pan przyrzeknie pewną rzecz, panie merze!

— Co takiego?

— Gdy wejdziemy do piwnicy, nie odstąpi mnie pan ani na krok!

— Dobrze!

— Czy mogę trzymać pana za rękę?

— Możesz!

Jacquemin wydobyl z kieszeni chustkę i otarł czoło, zroszone potem.

Całe towarzystwo udało się w stronę ulicy Sierżantów.

Za nimi płynęła jak wzburzona rzeka, hałaśliwa fala ludu, wśród której i ja się znajdowałem.

Wkrótce znaleźliśmy się na ul. Sierżantów. Była to mała uliczka na lewo od ulicy Głównej, zakończona wielką, drewnianą, całkiem zbutwiałą bramą, otwierającą się równocześnie na oba skrzydła. W jednym z tych skrzydeł znajdowała się mała furtka, wisząca na jednej tylko zawiasie.

Zdawałoby się mogło, że w domu tym panował niezamacony nigdy spokój. Krzak róży kwitnął koło bramy, obok zaś na kamiennej ławce siedział duży rudny kot, rozkoszując się ciepłem słonecznych promieni.

Wyrzawszy mrowie ludzi i usłyszawszy wrzawę skoczył słoszony i zniknął w okienku piwnicy.

Jacquemin zatrzymał się w bramie.

Gdy żandarmi usiłowali wejchnąć go do środka, zawołał:

— Panie Ledru! przyrzekłeś pan nie opuszczać mnie!

— Ależ, jestem tu! — krzyknął mer.

— Proszę mi dać ramie! pańskie ramie!

Zachwiał się, jakby miał unaść.

Pan Ledru zbliżył się, skinął na żandarmów, by go puścili, i podał mu ramie, mówiąc:

— Nie obawiajcie się, nie ucieknie!

Komisarz policji i doktor weszli pierwsi do środka, za nimi pan Ledru i Jacquemin, potem żan-

darmi, wreszcie kilka osób wyróżnionych, między nimi i ja.

„w piwnicy, gdzie...”

Tłum pozostał na ulicy, szemrając, gdy zamknięto mu przed nosem bramę.

Skierowaliśmy się ku drzwiom małego domku.

Nic nie zdradzało popełnionego tu morderstwa. Wszystko stało na swoim miejscu; łóżko, okryte zieloną kąpią w alkowie, u wezłowia krucyfiks z czarnego drzewa, z zatkniętą gałązką bukszpanu, pozostała od Wielkiejnocy. Przy kominku znajdowała się figurka woskowa Dzieciątka Jezus, leżąca na kwiatach między dwoma świecznikami w stylu Ludwika XVI, niegdyś posrebrzanemi; na ścianie wisiały cztery miedzioryty w ramach z czarnego drzewa, przedstawiające cztery części świata.

Idąc według wskazówek więźnia, znaleźliśmy się w sieni, w której rogu był otwór z odemkniętą kłapą. Z otworu wydobywało się światło.

— Tam, tam! — wykrzyknął Jacquemin, czepiając się ramienia pana Ledru, a drugą ręką wskazując wejście do piwnicy.

— Aha, aha, — szepnął doktor do komisarza z tym dziwnym uśmiechem ludzi, których nic nie wzrusza, bo w nic nie wierzą, — zdaje się, iż pani Jacquemin zastosowała się do mistrza Adama.

I zaśpiewał:

..a gdy żyć przestanę, pochowajcie mnie

Na stole dostrzegłem nakrycie na jedną osobę, na ognisku garnek z czemś gotującym się, obok zaś zegara dzieżę.

— I cóż tam? — odezwał się doktor zwykłym żartobliwym tonem. — Jak dotychczas nie widzę nic.

— Wejź pan we drzwi na prawo. — rzekł Jacquemin sflumionym głosem.

— Cicho! — przerwał mu Jacquemin, którego twarz była trupio blada, włosy zjeżone, czoło okryte potem. — Nie śpiewaj pan tutaj!

Doktor pod wrażeniem tego głosu zamilkł.

Ale, schodząc w dół, zapytał nagle:

— Co to jest?

I schyliwszy się, podniósł miecz o szerokim zakrwawionem ostrzu.

Komisarz wziął go z ręki doktora i zwrócił się do więźnia:

— Znacie ten miecz?

— Tak! — odparł Jacquemin. — Idźcie dalej, idźcie — — kończmy!

Było to pierwsze „corpus delicti“ tego mordu. Zaczeliśmy schodzić do piwnicy, po kolei. Stąpawszy na siódmym stopniu, ujrzałem w głębi okropny widok.

Pierwszy przedmiot, na którym zatrzymało się moje spojrzenie, był to trup bez głowy, leżący obok beczki, przez której wół otwarty kran sączył się strumień wina, tworząc kałużę, wsiąkającą zwolna w ziemię.

Zwłoki były nieco skrzywione, jak gdyby wtył przegięty korpus chciał się poruszyć. Suknia była z jednej strony zadarta aż po kolana.

Widocznie ofiara została zamordowana w chwili, gdy, klęcząc przy beczce napełniała winem butelkę, walającą się teraz na ziemi.

Cały korpus pływał we krwi.

Nieopodal, oparty o ścianę stał worek z gipsem, a na nim, jak na postumencie widać było odcięta głowę ludzką o włosach umazanych krwią.

Strumień krwi spływał wzdłuż worka.

Doktor i komisarz policji, obejrzawszy zwłoki, stanęli znów przed schodami.

Przyjaciele pana Ledru i kilku ciekawych postąpili aż na środek piwnicy.

Na ostatnim stopniu schodów stał Jacquemin, którego nie można było skłonić do pójścia dalej ani na krok.

Pilnowali go żandarmi.

Tę całą tragiczną scenę oświetlał słaby płomyk świecy stojącej na owej beczce, z której ciekło wino i koło której leżał trup pani Jacquemin.

— Stół i krzesło! — zawołał komisarz policji, — sporządzimy protokół!

III.

Protokół.

Przyniesiono komisarzowi żądane dwa sprzęty; usiadł poprosił o świecę, którą podał mu doktor, — wyjął z kieszeni kałamarz i papier i zaczął spisywać protokół.

Kilka minut trwało milczenie, podczas którego słyhać było skrobanie pióra komisarza po szorstkim papierze urzędowym, przyczem arkusz ze zwykłą piszącemu szybkością zapełniał się pismem.

— Którzy z panów podają się za świadków?

Pan Ledru wskazał dwóch swoich przyjaciół, stojących tuż koło komisarza:

— Przedewszystkiem — ci dwaj panowie!

— Dobrze.

Zwróciwszy się ku mnie, zapytał:

— Proszę pana, czy nie sprawi panu przykrości podpisanie protokołu swoim nazwiskiem?

— Mogę podpisać, — odrzekłem.

— Proszę podejść bliżej.

— Czy to konieczne? — zapytałem, czując wstręt do trupa.

— Co konieczne?

— Że muszę podejść bliżej?

— Może pan w ostateczności pozostać na miejscu.

Skinałem głową na znak, iż pragnę pozostać tam, gdzie stałem.

Komisarz policji zwrócił się do stojącego najbliżej przyjaciela pana Ledru i zapytał z szybkością człowieka, przywykłego stawiać tego rodzaju pytania:

— Pańskie nazwisko, imię, wiek, zatrudnienie, stan, adres?

— Jan Ludwik Alliette, — odparł zagadnięty— anagram: Etteilla, literat, zamieszkały przy ulicy Starej Komedji Nr. 20.

— Nie wymienił pan swego wieku, — zauważył komisarz.

— Czy mam podać swój wiek rzeczywisty, czy też ten, który mi przypisują?

— Tam do licha! Chodzi mi o wiek pański, wszak nikt niema podwójnego wieku.

— Owszem, owszem, panie komisarzu, były osoby tego rodzaju, np. Cagliostro, hrabia Saint-Germain, Żyd wieczny tułacz...

— Czy chcesz pan przez to powiedzieć, że jesteś Cagliostrem, hrabią Saint-Germain lub Żydem wiecznym tułaczem? — zapytał komisarz z marsmem na czole, jakby reagował na żart niesmaczny.

— Bynajmniej...

— 65 lat, — wyręczył go Ledru, — pisz pan 65 lat, panie Cousin!

— O to chodzi! — mruknął komisarz.

I napisał lat 65.

— Teraz pan, — zwrócił się do drugiego z przy-

jaciół pana Ledru i powtórzył te same pytania, co poprzednio.

Zagadnięty odpowiedział:

— Piotr Józef Mouille, lat 61, kapłan przy kościele Św. Sulpicjusza, zamieszkały przy ulicy Serwadoni Nr. 11.

— A pan? — pytał komisarz, spojrzawszy na mnie.

— Aleksander Dumas, pisarz dramatyczny, lat 27, zamieszkały w Paryżu, ulica Uniwersytecka Nr. 21.

Pan Ledru zwrócił się w moją stronę i grzecznie się uklonił, na co odpowiedziałem również uprzejmym uklonem.

— Dobrze! — odsapnął komisarz. — Posłuchajcie, panowie, czy będzie tak dobrze, a może kto zechce poczynić jeszcze jakie uwagi?...

Potem zaczął czytać głosem monotonnym, który tak często słyszy się w sądzie:

„Dnia 1 września 1831 o drugiej po południu, dowiedziałem się z pogłosek, że w gminie Fontenay-aux-Roses zostało dokonane morderstwo na osobie Marji Joanny Doucudray, przez jej męża, nazwiskiem Piotr Jacquemin i że sprawca mordu udał się do mieszkania mera wspomnianej gminy, by się z własnego popędu oskarżyć o tę zbrodnię. Udał się natychmiast we własnej osobie do mieszkania wspomnianego Jana Piotra Ledru, ulica Djany Nr. 2 w asyście pana Sebastjana Roberta, doktora medycyny, zamieszkałego w tejże gminie Fontenay - aux - Roses, i tam zastaliśmy już w rękach żandarmerji wspomnianego Piotra Jacquemin, który powtórzył wobec nas, że zamordował swą żonę, poczem wezwaliśmy go, by udał się z nami na miejsce popełnionej zbrodni. Po-

czątkowo nie chciał iść z nami, później uległ namowom pana mera i udaliśmy się na ulicę Sierżantów, gdzie znajduje się dom, zamieszkały przez Piotra Jacquemina. Przyszedłszy tutaj, zamknęliśmy za sobą bramę, by powstrzymać tłum ciekawych, poczem weszliśmy do pierwszego pokoju, w którym nie widać było żadnych śladów dokonanej zbrodni. Następnie idąc za wskazówkami samego Piotra Jacquemina, przeszliśmy z pierwszego pokoju do drugiego, w którego kącie znajdował się otwór, przez który wchodzi się do piwnicy. Zeszliśmy na dół, przyczem pan doktor na pierwszych stopniach znalazł miecz z rękojeścią w kształcie krzyża i szeroką, ostrą klingą, który to miecz według zeznania rzezonego Jacquemina, zabrał tenże podczas rewolucji lipcowej z arsenału Artylerji i posłużył się nim przy spełnieniu zbrodni. Na ziemi w piwnicy znaleźliśmy zwłoki pani Jacquemin, leżące na plecach w kałuży krwi, ponieważ głowa oddzielona została od korpusu. Głowę tę postawił Jacquemin na opartym o ścianę worku z gipsem i wobec pana mera gminy Fontenay-aux-Roses zeznał, że to są zwłoki i głowa jego żony; zeznał to w obecności pana Sebastjana Roberta, doktora medycyny, zamieszkałego w Fontenay-aux-Roses; pana Jana Ludwika Alleffe, zwanego Ettiella, literata, lat 65, zamieszkałego w Paryżu, ulica Starej Komedyi Nr 20; pana Piotra Józefa Moulle, lat 61, kapłana przy kościele św. Sulpicjusza, zamieszkałego w Paryżu, ulica Servandonj Nr. 11; pana Aleksandra Dumasa, lat 27, pisarza dramatycznego, zamieszkałego w Paryżu, ulica Uniwersytecka Nr. 21: — następnie odebraliśmy protokółarne zeznanie od obwinionego“.

— Spojrzał w naszą stronę z widocznym wyrazem zadowolenia z siebie i zapytał:

— Proszę panów! czy tak dobrze?

— Doskonale! — odpowiedzieliśmy jedno-
głośnie.

— A teraz przystąpmy do przesłuchania wino-
wajcy.

Jacquemin oddychał ciężko, jakby go coś
dławiło.

— Obwiniony! — Wasze imię, nazwisko, wiek,
stan, adres?

— Czy to długo potrwa? — spytał obwiniony,
z miną człowieka, którego siły opuszczają.

— Proszę odpowiadać! Imię i nazwisko?

— Piotr Jacquemin.

— Ile lat?

— Czterdzieści jeden.

— Gdzie mieszka?

— Przecie nan jest tutaj.

— Wszystko jedno, prawo wymaga odpowiedzi
na to pytanie!

— Ulica Sierżantów.

— Zawód?

— Robotnik z kamieniołomów.

— Przyznaecie się do zbrodni?

— Tak.

— Powiedźcie dlaczego dokonaliście zbrodni
i w jakich okolicznościach?

— Dlaczego?... Co tam mówić o tem, — od-
parł Jacquemin. — to tajemnica, która zostanie mie-
dzy mną, a ta tam...

— Niema przyczyny bez skutku.

— Powiedziałem już, że przyczyny nie dowiecie
się nigdy. Co się tyczy tych, jak nan powiada, —
okoliczności, — to chcecie je wiedzieć?

— Mówcie.

— A więc było tak. Gdy się pracuje, jak my,
pod ziemią, w ciemności, i gdy się wedle swego
mniemania ma powód do zgryzoty, wówczas robak

gryzie duszę, widzi pan, — i przychodzą człowiekowi złe myśli.

— Oho, oho! przerwał komisarz, — a więc obmyśleliście to już z góry?

— Ach, jeśli panu powiadam, że przyznaję się do wszystkiego, czyż to nie dosyć?

— To prawda, mówcie.

— Otóż te złe myśli, co mi przyszły do głowy, to były myśli o zamordowaniu Joanny. Męczyło mnie to dłużej jak miesiąc, serce nie pozwalało, lecz jedno słowo, które powiedział mi pewien kolega, utwierdziło mnie w postanowieniu.

— Jakie słowo?

— O, to są rzeczy, które nie powinny pana obchodzić! Dziś rano powiedziałem Joannie: „Dzisiaj nie idę do roboty, chcę się zabawić, jakby to było święto; będę z kolegami grał w kręgle. Pamiętaj, żeby obiad był gotowy za godzinę“...

„Jakto?“ — zdziwiła się. Nie twój interes, rozumiesz? Obiad za godzinę!“... „No dobrze“, — odzwała i poszła po garnek i dzieżkę.

Ale zamiast iść na kręgle, wziąłem ten miecz, który tam pan ma przed sobą i naostrzyłem go na kamieniu. Potem poszedłem do piwnicy, ukryłem się za beczkami i rzekłem sam do siebie: „Ona musi przyjść do piwnicy, aby utoczyć wina, — a potem — zobaczymy“.

Jak długo tam siedziałem za tą beczką, nie wiem, serce waliło mi jak młotem, przed oczami było mi czerwono.

Jakiś głos we mnie powtarzał ciągle to słowo, które słyszałem wczoraj od kolegi.

— Czy powiecie nareszcie to słowo! — zawołał komisarz niecierpliwie.

— Nie potrzeba. Powiedziałem już, że nie dowie się go pan nigdy. Wreszcie usłyszałem zbliża-

jące się kroki. Zobaczyłem cień, potem ona stanęła we drzwiach. Widać ją było dobrze; w ręce trzymała świecę.

— Aha, dobrze, — pomyślałem sobie.

I zupełnie cicho wymówiłem to słowo, które mi powiedział kolega.

Podeszła bliżej. Daję słowo, możnaby myśleć, że przeczuwała, co ją czeka, gdyż bała się i oglądała na wszystkie strony; ale byłem dobrze schowany i nie ruszałem się.

Potem uklękła przy beczce, podstawiła butelkę i odkręciła kran. Wyszedłem szybko z ukrycia, podniosłem miecz i — trach! — Sam nie wiem, czy krzyknęła; odcięta głowa stoczyła się na ziemię.

W tej chwili nie chciałem umierać, lecz ratować się. Miałem zamiar wykopać w piwnicy dół i ukryć ciało. Rzuciłem się na głowę, toczącą się po ziemi, podczas gdy tułów upadł w przeciwną stronę. Miałem przygotowany worek z gipsem, by zatrzeć ślady krwi. Uchwyciłem więc głowę, a raczej głowa chwyciła mnie. Proszę patrzeć!

Pokazał prawą rękę, której wielki palec miał ślady silnego ukąszenia.

— Jakto, głowa was chwyciła? — zapytał do kór, — cóż to u licha za bajki opowiadacie?

— No, mówię, że ugryzła mnie mocno i nie chciała mnie puścić. Z pomocą lewej ręki położyłem ją na worku z gipsem, a prawą chciałem wydobyc z zębów, które jednak wkrótce same rozwarły się. Cośnałem rękę, widzi pan, może to szaleństwo, lecz byłem przekonany, że głowa żyje: oczy były szeroko otwarte. Widziałem ją zupełnie dobrze, gdyż świeca stała na beczce, — a potem usta poruszyły się i wymówiły: „Nędzniku, bylam niewinna!“

— No, tego już za wiele! — zawołał doktor, — oczy spojrzwały na was? usta przemówiły?

— Przecie słyszałeś pan, panie doktorze! Pan jest lekarzem, więc w nic nie wierzy; a ja mówię panu, że ta głowa, którą tam widzicie, ugryzła mnie i powiedziała: „Nędzniku bylam niewinna!“ — Przecie chciałem ze strachu uciekać, no nie? Ale poleciałem prosto do pana mera, by się wydać w ręce władzy. Czy to prawda, panie merze? powiedz pan!

— Tak, Jacquemin! — odparł pan Ledru przyjaznym tonem, — tak, to prawda!

— Zbadaj głowę, doktorze, — rzekł komisarz policji.

— Ach, nie panie Robert! — krzyknął Jacquemin, — dopiero, gdy pójdę stąd!

— Czy boisz się głuntasie, by znów nie przemówiła do ciebie? — rzekł doktor, poczem wzięwszy świecę zbliżył się do worka z gipsem.

— Panie Ledru! na miłość boską! — wołał morderca, — błagam pana, proszę mię puścić, proszę, zaklinam pana!

— Moi panowie! — rzekł mer, wstrzymując skinieniem doktora, — ten nieszczęśliwy jest już tu niepotrzebny, pozwólcie więc, że go zaprowadzę do więzienia. Prawo, ustanawiając konfrontacje, przewidziało także, że oskarżony winien mieć siłę wytrzymania jej.

— A protokół? — zagadnął komisarz.

— Jest prawie skończony.

— Obwiniony musi go podpisać.

— Uczyni to w więzieniu.

— Tak, tak! — zawołał Jacquemin — w więzieniu podpiszę wszystko, co tylko panowie zechcecie!

— No, więc dobrze! — odparł komisarz.

— Żandarmi! odprowadzić tego człowieka! —
rozkazał pan Ledru.

— Ach, dziękuję, panie Ledru! — rzekł Jacquemin z wyrazem szczerzej wdzięczności.

Sam ujął obu żandarmów pod ręce i z nadludzką siłą pociągnął ich za sobą do góry po schodach.

Po tych słowach — dramat w piwnicy zakończył się. Na miejscu pozostały tylko dwa straszne przedmioty: ciało bez głowy i głowa bez ciała.

Zwróciłem się do pana Ledru:

— Proszę pana! czy mogę odejść? przecie protokół mogę podpisać jutro.

— Dobrze! Lecz pod jednym warunkiem!

— Jakim?

— Że pan podpisze protokół u mnie!

— Z największą przyjemnością. Kiedy?

— Mniej więcej za godzinę. Pokażę panu mój dom, który należał do Scarrona. To pana zainteresuje.

— Za godzinę będę tam!

Wychodząc na górę, rzuciłem raz jeszcze okiem do wnętrza piwnicy.

IV.

Dom Scarrona.

Po upływie godziny stawilem się u pana Ledru. Przypadkowo spotkałem go na dziedzińcu.

— Ach, to pan? — zawołał, spostrzegłszy mnie. — tem lepiej, przyjemnie mi, że będę mógł z panem nieco pogawędzić, zanim go przedstawię moim gościom, gdyż zatrzymuję pana na obiad.

— Ależ panie! przepraszam bardzo, lecz...

— Nie przyjmuję żadnych wymówek! Trafił pan na czwartek, to jest dzień moich przyjęć. Wszy-

scy moi goście czwartkowi należą do mnie niepodzielnie. Po obiedzie będzie panu wolno zostać, albo odejść. Dzisiejsze zajście sprawiło, że będziemy obiadowali o czwartej, zamiast o drugiej, jak zwykle. Ale wyjdzie mi to na dobre, bo przed obiadem będę miał możność przedstawić pana moim gościom.

Z temi słowami pan Ledru poszedł naprzód i znaleźliśmy się w salonie.

Jak wszystko w tym domu, tak i ten salon miał szczególny swój wyraz. Na ścianach tapety były barwy nieokreślonej. Pod ścianą stał podwójny rząd foteli i krzeseł do gry jakiegoś starego stylu. Dookoła rozstawione były stoliki do gry, a pośrodku mieściło się olbrzymie biurko, zajmujące przestrzeń od ściany aż do jednej trzeciej części salonu, zawałone książkami, broszurami i czasopismami; pośród czasopism, jak król na zaszczytnym miejscu, leżał „Constitutionnel“, ulubiony dziennik pana Ledru.

Sala była pusta, goście przechadzali się po ogrodzie, który w całej rozciągłości podziwiać można było z okna.

Pan Ledru podeszedł do biurka i otworzył dużą szufladę, zawierającą mnóstwo małych pakietów. Przedmioty, znajdujące się w tej szufladzie, były pozawijane w papier z przyklejonymi napisami.

— Niech pan spojrzy! — rzekł. Jest tu coś dla pana, panie historyku! Jest to zbiór relikwii, nie świętych wprawdzie, lecz królewskich.

Istotnie, każde zawiniątko zawierało kość, włosy lub brodę. Było tam jabłko z kolana Karola IX, wielki palec Franciszka I, szczątek czaszki Ludwika XIV, zebro Henryka II, kość pacierzowa Ludwika XV, broda Henryka IV, włosy Ludwika XIII.

Był także ząb Abelarda i ząb Heloizy, dwa białe

zęby przednie, które być może niegdyś, znajdując się jeszcze w obramowaniu drżących warg, spotkały się w pocałunku.

— Skąd pochodzi ten zbiór kości?

Pan Ledru wyjaśnił, że był obecny przy ekshumacji królów w Saint-Denis i wziął sobie z każdego grobu, co mu się spodobało.

Mer poświęcił dużo czasu, zanim zaspokoił naszą ciekawość; widząc zaś, że już obejrzałem wszystkie etykiety, rzekł:

— Dostyc już zajmowaliśmy się umarłym, chodźmy teraz do żywych.

Podeszliśmy do okna, skąd, jak nadmienilem, widać było doskonale ogród. W alei lipowej ujrzelśmy przechadzających się gości: Alliete'a, zwanego inaczej Etteilla, księdza Moulle'a i kawalera Lenoir, który był autorem dzieła „Museum des Petits-Augustins“.

— Czy to już wszyscy pańscy goście? — zapytałem.

— Może przyjdzie jeszcze doktor Robert. O tym nie powiem panu nic, przypuszczając, że go pan sam już ocenił. Całe życie robił on doświadczenia z ludzkim organizmem, jak z martwym przyrządem, nie bacząc, że organizm ten ma duszę, wrażliwą na ból — i nerwy, odczuwające wszystko. Żyje wesoło z dnia na dzień i stale przysparza cmentarzowi grobów. Nie wierzy w istnienie pośmiertne, i to szczęście dla niego. Jest to mierny umysł, ale uważa się za człowieka dowcipnego, ponieważ robi wiele hałasu, i za filozofa — ponieważ nie wierzy w Boga. Jest jednym z tych, których się przyjmuje nie dlatego, że są godni przyjęcia, lecz dlatego, że właśnie przychodzi.

— O, znam ten rodzaj ludzi!

— Miał do mnie przyjść jeszcze jeden przyja-

ciel, młodszy od Alliette'a, od księdza Moulle i kawalera Lenoir, dorównujący jednak Alliette'owi w kartomanji, Moulle'emu w demonologii, a kawalerowi Lenoir w antykwarstwie. Jestto chodząca biblioteka, katalog oprawny we własną skórę.

— To zapewne bibliofil Jakób?

— Tak jest.

— Czy przyjdzie?

— Nie wiem. Szuka on starego dzieła, drukowanego 1570 r. w Amsterdamie, oryginalnego wydania z trzema błędami, z tych jeden na pierwszej stronie, drugi na siódmej i trzeci na ostatniej.

W tej chwili otwarły się drzwi i weszła matka Antonia, mówiąc:

— Proszę pana! podano do stołu!

— Proszę panów! — zawołał pan Ledru, otwierając furtkę ogrodową, — do stołu! do stołu! Zwróciwszy się zaś do mnie, rzekł:

— Oprócz tych osób, które pan widzi w ogrodzie, jest tu jeszcze jeden gość, którego pan nie widział i o którym dotąd nie wspominałem. Ten jest nieczuły na rzeczy ziemskie, więc nie dosłyszał mego głosu. Odszukanie go jest rzeczą pańską; jeśli pan znajdzie jego bezcielesność, jego przejrzystość („cień“, jak mówią Niemcy), to przedstaw się i spróbuj przekonać go, iż niekiedy dobrą rzeczą jest jeść, chociażby po to tylko, aby żyć; następnie podaj mu pan ramię i przyprowadź go do nas.

Usłuchałem rady pana Ledru, przeczuwając, iż ten miły duch, którego już po kilku minutach nauczyłem się cenić, będzie dla mnie przyjemną niespodzianką; szedłem więc przez ogród, rozglądając się.

Poszukiwanie moje trwało niedługo.

Była to postać niewieścia, siedząca w cieniu lipy tak, że nie mogłem widzieć jej twarzy, ani

kształtów; twarz bowiem miała zwróconą w stronę pół, zaś figurę jej okrywał wielki szal.

Była ubrana całkiem czarno.

Zbliżyłem się do niej; nie odwróciła się jakby odgłos moich kroków uszedł jej uwagi, możnaby ją wziąć za statue.

Już zdaleka zauważyłem, że jest blondynką. Promień słońca, przedzierający się przez liście lipy, odbijał się na jej włosach, tworząc wokoło głowy aureole; podszedłszy bliżej, dostrzegłem, iż były to niezwykle delikatne włosy, dorównujące pod tym względem chyba nitkom babiego lata. Szyję miała nieco za długą, aczkolwiek jest to zawsze oznaka wdzięku, jeśli nie piękności, głowę oparła o łokieć na poręczu ławki.

Przyglądałem jej się przez chwilę, a im dłużej patrzałem na nią, tem bardziej zdawało mi się, że mam przed sobą nieżywą istotę. Zebrałem się na odwagę i rzekłem głośno:

— Pani!

— Drgnęła, odwróciła się i spojrzała na mnie ze zdziwieniem, jak ktoś, budzący się ze snu i zbierający myśli.

Przez kilka chwil nie mówiliśmy nic; ona przyglądała mi się badawczo swemi dużemi czarnemi oczami.

Była to kobieta lat około 32. Musiała być cudem piękności, zanim jej policzki zwiędły i cera pobladła; zresztą i teraz wydała mi się jeszcze zupełnie piękną z tem matowó - bladem obliczem bez karnacji, wskutek czego jej oczy wyglądały jak agaty, wargi jak korale.

— Pani! — powtórzyłem, — pan Ledru twierdzi, że jeśli się pani przedstawię jako autor „Henryka III“, „Krystyny“ i „Antony'ego“, to pani łaska

wie wybaczy me natręctwo i pozwoli się poprowadzić do stołu.

— Wybacz pan, — odrzekła, — nieprawdaż, żeś dopiero przed chwilą nadszedł? Słyszałam odgłos pańskich kroków, a jednak nie mogłam się odwrócić. Zdarza mi się to czasami, gdy patrzę w pewne strony. Pański głos rozproszył czar; podaj mi więc ramię i chodźmy!

Powstała i wsparła się na mem ramieniu; chociaż oparła się całkiem swobodnie, zdawało mi się, że prowadzę cień, a nie ludzką istotę.

Weszliśmy do sali jadalnej, nie przemówiwszy do siebie przez drogę ani słowa.

Dwa miejsca przy stole były dla nas przygotowane.

Jedno — po prawej ręce pana Ledru, dla niej, — drugie, naprzeciwko niej, dla mnie.

V.

Policzek Karoliny Corday.

Obiad u pana Ledru miał osobliwy charakter, jak wogóle wszystko, co się znajdowało w tym domu.

Jeszcze podczas obiadu przybyły dwie nowe osoby: doktor i komisarz policji.

Komisarz zjawił się w tym celu, by nam dać do podpisania protokół, podpisany już przez Jacquemin'a w więzieniu.

Na papierze był lekki ślad krwi.

Podpisując, zapytałem:

— Co znaczy ten krwawy ślad? Czy to krew kobiety, czy jej mordercy?

— To krew z rany — odrzekł komisarz — na

reęce mordercy, która ustawicznie krwawiła, tak, że nie można jej było zatamować.

— Czy uwierzysz Ledru — wtrącił doktor — że ten głupiec Jacquemin uporczywie twierdzi, że głowa żony przemówiła do niego?

— A pan uważasz to za niemożliwość, doktorze?

— Oczywiście!

— I że oczy same się otworzyły?

— To było niemożliwe.

— A czy wierzysz, że odcięta głowa żyła i miała czucie przez kilka chwil, gdyż upływ krwi powstrzymała warstwa gipsu?

— W to również nie wierzę!

— A ja wierzę! — odrzekł pan Ledru.

— I ja! — dodał Alliette.

— I ja! — oświadczył ksiądz Moulle.

— I ja! — powtórzył kawaler Lenoir.

— I ja! — zakończyłem.

Tylko komisarz i blada dama nie odedzwali się. Pierwszy zapewne z tej przyczyny, że go sprawa zbyt mało obchodziła, druga dlatego, że ją to może za bardzo obchodziło.

— Jeżeli wszyscy jesteście przeciwko mnie, musicie mieć rację. Niestety, żaden z was nie jest lekarzem...

— Ależ doktorze! — przerwał pan Ledru, — przecie nie odmówisz mi znajomości medycyny...

— Wobec tego, — odrzekł doktor, — musi pan wiedzieć, że niema bólu, gdy niema czucia i że czucie znika przez przecięcie stosu pacierzowego,

— Któż to panu powiedział?

— Kto? Nauka!

— Oto łatwa odpowiedź! Czyż nie nauka podszepnęła sędziom, gdy wydawali wyrok na Galileusza, że słońce się obraca, a ziemia stoi w miejscu?

Czyś pan sam robił doświadczenia z odciętemi głowami?

— Nie, nigdy.

— A czy pan czytał rozprawy Sömmeringa? Protokóły doktora Sue? Protestacje Oelchera?

— Nie.

— A więc polegasz na twierdzeniu doktora Guillotina, że jego przyrząd jest najszybszym, najpewniejszym i bezbolesnym sposobem odbierania życia?

— Bezwątpienia.

— O jakże się pan myli! Jakże się pan myli!

— Dlaczego?

— Posłuchaj, doktorze. Jeśli się odwołujesz do nauki, niech więc mówi nauka. Jestem pewien, iż między nami niema nikogo, komuby ten przedmiot był obcy.

Doktór uczynił ruch wątpiacy.

— Wobec tego opowieść moja będzie zrozumiała tylko dla pana. Posłuchajcie państwo.

Ponieważ niegdyś zajmowałem się badaniem rodzaj bólów, towarzyszącym śmierci w różnych okolicznościach, przeto zagadnienie, poruszone przez mera zainteresowało mnie bardzo.

— Słuchamy, słuchamy! — rzekł doktór tonem niedowierzania.

— Każdego, — zaczął pan Ledru, — kto ma choć najmniejsze pojęcie o budowie i funkcjach życiowych ciała ludzkiego, łatwo można przekonać, iż zdolność czucia w chwili śmierci nie znika odrazu, a twierdzą to, panie doktorze, nie na podstawie samych przypuszczeń, lecz faktów.

— Proszę o podanie tych faktów.

— Po pierwsze: ośrodkiem czucia jest mózg, czy tak?

— Prawdopodobnie.

— Funkcje odbierania wrażeń istnieją nawet

wówczas, gdy dopływ krwi do mózgu zostaje zamowiany, osłabiony lub częściowo zniweczony.

— To możliwe.

— Jeśli więc ośrodkiem zdolności czucia jest mózg, — to dopóki ten mózg posiada siłę życiową, — delikwent ma świadomość istnienia.

— Ale proszę o dowody.

— Posłuchaj pan. Haller mówi w swych zasadach fizyki“ tom IV str. 35: „Głowa odcięta otworzyła oczy i spojrzała na mnie z ukosa, gdym końcem palca poruszył jej szpik pacierzowy“.

— Haller, być może, lecz Haller mógł być w błędzie!

— Przypuśćmy, że był w błędzie, ale weźmy się teraz do innego: Weycard mówi w swych „Sztukach filozoficznych“ str. 221: „Widziałem poruszające się usta człowieka, gdy ucięto głowę“.

— Dobrze, lecz od poruszania się do mówienia...

— A wiec weźmy jeszcze jednego. Sömmering, którego dzieła leżą tutaj, pisze: „Bracia moi! kilku doktorów zapewniało mnie, że widzieli, jak głowa oddzielona od ciała, zgrzytała z bólu zębami, a jestem przekonany, że, gdyby w organach głosowych znajdowało się powietrze — **głowy mówiłyby!**“ — A teraz, panie doktorze — oświadczył pan Ledru, poblądlszy. — nostrwam się jeszcze dalej niż Sömmering. **Odcięta głowa przemówiła do mnie!**

Zadrżeliśmy. Błada dama podniosła się z sofy.

— Do pana!?

— Tak, do mnie! Powiecie może, że i ja jestem szalony?

— Do licha! — zawołał doktor. — Skoro pan sam słyszał...

— Tak, zapewniam, że mnie samemu się to wydarzyło.

— Onowiedz nam to zdarzenie, przyjacielu! — rzekł ksiądz Moulle.

— Opowiedz pan! — prosił kawaler Lenoir.

— Panie! — szepnęła blada kobieta.

Ja nie odzywałem się, lecz wzrok mój wyrażał ciekawość.

— To dziwne, — rzekł pan Ledru, nie odpowiadając nam, lecz raczej mówiąc do siebie, — jaki nieraz bywa zbieg okoliczności...

— Jestem synem osławionego Comusa, fizyka królewskiego; ojciec mój, aczkolwiek to oryginalne nazwisko nadawało mu pozór kuglarza lub szarlata-
na, był pierwszorzędnym uczonym ze szkoły Volty, Galwaniego i Mesmera. On pierwszy we Francji zajmował się fantasmagorją i elektrycznością i wygłaszał na dworze królewskim odczyty z dziedziny matematyki i fizyki.

Biedna Marja Antonina, która widziałem ze dwadzieścia razy i która mnie niejednokrotnie brała na rece i pieściła, gdyż za jej przybycia do Francji byłem jeszcze dzieckiem, — Maria Antonina była wielką protektorką mego oica. Józef II w przejeździe przez Francję w r. 1777. oświadczył, że nie widział nic osobliwszego nad Comusa.

Tymczasem ojciec mój oddawał się wychowaniu mojemu i mego brata, wprowadzając w początki nauk tajemnych, oraz w arkana różnych umiejętności galwanicznych, fizycznych i magnetycznych, które wówczas stanowiły przwilej i tajemnice kilku wybranych. W r. 1793 uwieziono mego oica jako fizyka królewskiego, jednakże dzięki temu, że miałem znajomych w stronnictwie „Góry“, udało mi się wyjednać jego uwolnienie.

Potem ojciec mój zamieszkał w tym domu, należącym teraz do mnie i tutaj umarł w r. 1807, mając lat 76.

Wspomniałem już o mych znajomościach w stronnictwie „Góry“. Istotnie przysiaźniłem się z Dantonem i Kamilem Desmoulins. Znałem też Ma-

rata, jako lekarza lecz nie przyjaźniłem się z nim. Następstwem tej krótkiej coprawda znajomości było to, iż w dniu stracenia Karoliny Corday, postanowiłem przyrzec się egzekucji.

— Właśnie, — przerwałem, — chciałem panu w pańskim sporze z doktorem Robertem o ciągłości życia, przyjść z pomocą i przytoczyć fakt, o którym historia wspomina co do Karoliny Corday.

— Powiem i o tem, — odrzekł pan Ledru, — ale pozwól mi pan opowiadać dalej. Sam byłem świadkiem tego zdarzenia, to też słowa moje zasługują na wiarę.

Już o drugiej po południu czekałem pod pomnikiem Wolności. Był to ciepły dzień lipcowy, powietrze było ciężkie i duszne, niebo zachmurzone zapowiadało burzę.

Jakoż o czwartej nadciągnęła burza i w tej chwili Karolina weszła na wózek skazańców.

Wyciągnięto ją z więzienia w momencie, gdy jakiś młody malarz chciał uchwycić na płótnie jej podobiznę.

Głowa była już narysowana, lecz o dziwo! W chwili, gdy wszedł kat, malarz kreślił właśnie tę część szyi, którą miało przeciąć ostrze gilotyny.

Błyskało się, lał deszcz, grzmiały pioruny, lecz nie powstrzymało to ciekawości motłochu. Ulice, mosty i place były przepelnione. Wrzawa na ziemi zagłuszała grzmoły na niebie. Kobiety rzucały na skazana zlorzeczenia i wyzwiska. Słyszałem ten ryk zbliżający się, jak szum wodospadu. Wreszcie ukazał się wózek, niby straszny statek, płynący wśród fal i ujrzałem skazaną, której nie znałem i nie widziałem nigdy.

Było to piękne, młode dziewczę, lat 27, o cudownych oczach, kształtnym nosie i regularnych ustach. Stała wyprostowana z podniesioną głową,

nie dlatego, by urągać tłumowi, lecz dlatego, że zmuszały ją do tego ręce w tył skrepowane.

Moknące na deszczu przez trzy kwadransy suknie przylgły do skazanej, uwydatniając kształty jej wspaniałego ciała; zdawało się, jakgdyby wyszła z kąpieli. Dziwnie wyglądała na niej nałożona przez kata czerwona koszula, rzucająca ponury refleks na tę piękną, dumną głowę. W chwili, gdy przybyła na plac stracenia, deszcz ustał i promień słońca, przedarłszy się przez chmurę, padł na nią i zajaśniawszy na włosach otoczył głowę jakby aureolą. Dziewczyna ta była skazana na śmierć za morderstwa, a jednak, patrząc na nią, nie potrafiłbym powiedzieć, czy stracenie jej było karą śmierci, czy też apoteozą. Ujrawszy szafot, zbladła, wkrótce jednak opanowała wzruszenie, zwróciła się w stronę gilotyny i uśmiechnęła się.

Wózek stanął. Karolina zeskoczyła, nie przyjmując pomocy kata, i weszła po śliskich od deszczu stopniach szafotu, tak szybko, jak na to pozwalała jej długa koszula i ręce w tył skrepowane. Gdy kat położył rękę na jej ramieniu, by zerwać chustkę, okrywającą szyję, zbladła po raz drugi, lecz zaraz potem uśmiechnęła się znowu i nie czekając, aż ją przywiążą do ohydnych desek, sama we wzniósłem, prawie radosnem uniesieniu wetknęła głowę w otwór. Żelazo spadło i oddzielona od ciała głowa stoczyła się na platformę.

Wówczas to — uważajcie, panowie! — pewien pacholek, nazwiskiem Legros, ujął tę głowę za włosy i chcąc z łaskich pobudek popisać się przed tłumem, wymierzył jej policzek. Teraz, słuchajcie: po tej zniewadze głowa zapłonęła rumieńcem oburzenia; widziałem dobrze — nietylko uderzony policzek, lecz oba policzki pokryły się szkarłatem, gdyż głowa ta zachowała uczucie i na zniewagę zareagowała oburzeniem.

Lud spostrzegł to i ujął się za umarłą. Zaządał, by oddano nędznika żandarmom i wytrącono do więzienia.

— Zaczekaj pan, — dodał pan Ledru, widząc, że doktor chce mu przerwać, — to jeszcze nie koniec. Chciałem się dowiedzieć, jakie powody skłoniły tego człowieka do popełnienia tak haniebnego czynu. Zasiągnąłem wiadomości, gdzie go uwięziono i, otrzymawszy pozwolenie odwiedzenia go w Opactwie, poszedłem tam. Wyrok trybunału rewolucyjnego skazał go na trzy miesięczne więzienie. Nie mógł zrozumieć, jak można było skazać go za postępek, tak według niego naturalny.

Na zapytanie moje odrzekł:

— Też pan pyta! Jestem wyznawcą Marata. Działalem w imieniu prawa i w imieniu własnym.

— Ależ młodzieńcze! Nie wiesz chyba, że targnięcie się na majestat śmierci równa się zbrodni?

— A co mi tam! — odrzekł Legros, wytrzeszczywszy na mnie oczy. — Pan myśli, że te głowy ucięte nie żyją?

— Naturalnie!

— No, to niech pan zajrzy do kosza, w którym znajdują się te głowy. Zobaczysz pan, jak przewracają oczyma i zgrzytają zębami przynajmniej pięć minut po egzekucji. Co trzy miesiące musimy sprawić nowy kosz, gdyż dno zupełnie przegryzają ich zęby. Widzi pan, są to głowy arystokratów, które nie chcą odrazu umierać — i wcaleby mnie nie zdziwiło, gdyby taka głowa pewnego razu zawołała: „Niech żyje król!“

Usłyszałem to, o co mi chodziło i oddaliłem się, myśląc tylko o jednym: że te głowy istotnie żyją. Postanowiłem przekonać się o tem.

VI.

Solange.

Podczas opowiadania pana Ledru zapadła noc. Słuchacze wyglądali, jak nieme i nieruchome cienie,— wszyscy bowiem obawiali się, by pan Ledru nie przerwał opowieści, — gdyż przeczuwali, że po jednej historii, pełnej grozy, nastąpi druga, straszniejsza.

Nie słyhać było najłżejszego oddechu. Tylko doktor chciał coś powiedzieć, lecz ścisnął go za rękę, aby milczał.

Po chwili pan Ledru ciągnął dalej:

— Opuściwszy opactwo, szedłem przez plac Taranne, kierując się w stronę ulicy Tourmon, gdzie mieszkałem. Nagle doleciał mnie głos kobiecy, wzywający ratunku.

Nie mogli to być złoczyńcy, gdyż była zaledwie dziesiąta godzina wieczór. Pobiegłem ku tej stronie placu, skąd dochodziło wołanie i przy świetle księżyca, wychylającego się z poza chmur, ujrzałem jakąś kobietę, wrywającą się patrolowi sankiulotów.

Kobieta zauważyła mnie odrazu i wnioskując z mego ubrania, iż nie jestem człowiekiem z ludu, rzuciła się ku mnie, wołając:

— Oto jest pan Albert, mój znajomy: ten wam powie, że naprawdę jestem córka praczki, Ledieu!

Równocześnie biedne, dżące i blade stworzenie uczeniło się mego ramienia, jak rozbitek deski ratunku.

— Badź ty sobie córka matki Ledieu, ale nie masz karty obywatelskiej, więc pójdziesz z nami na odwach.

Młoda kobieta trzymała się silnie mego ramienia: czułem lęk i prośbę w tym uścisku. Zrozumiałem ją.

Ponieważ przemówiła do mnie pierwszym lepszym imieniem, jakie jej przyszło na myśl, przeto i ja w podobny sposób ją nazwałem:

— To ty, biedna Solange? — wyraziłem zdumienie, — co się z tobą dzieje?

— Otóż widzicie, panowie! — tryumfująco zawołała w stronę zbirów.

— Myślę, że mogłabyś powiedzieć: „obywatele!”

— Wybaczcie, panie sierżancie! — odrzekła dziewczyna, — ale nie moja w tem wina, że tak mówię; matka przyzwyczała się do manier wielkiego świata i nauczyła mnie uprzejmości, dlatego posiadam to złe przyzwyczajenie, które jest przeżytkiem arystokratycznym. —

Słowa te, wypowiedziane ze drżeniem, zawierały subtelną ironję, co nie uszło mojej uwagi. Zapytałem w duchu, kim mogła być ta kobieta? Byłem zupełnie przekonany, że nie pochodzi z ludu.

— Wyobraź sobie, obywatelu Albercie, — zwróciła się do mnie, — wyszłam, by odnieść bieliznę, pani domu była nieobecna, musiałam więc czekać aż wróci, aby odebrać pieniądze. Mój Boże! wszak teraz każdemu potrzeba pieniędzy. Nie wzięłam ze sobą karty obywatelskiej i oto nagle dostałam się między tych panów, — przepraszam, — obywateli, którzy zażądali karty, a ponieważ powiedziałam, że jej nie mam, chcą mnie prowadzić na odwach. Krzyknęłam, — nadbiegłeś z pomocą; uspokoiłam się, poznawszy znajomego. Powiedziałam sobie: Ponieważ pan Albert wie, iż nazywam się Solange i jestem córka matki Ledieu, więc zareczy za mnie, nieprawdaż Albercie?

— Naturalnie! Ręcze za ciebie!

— Dobrze! — zawołał dowódca patrolu, — lecz kto zareczy za ciebie, mości elegancie?

— Danton! Chyba to wystarczy.

— Dobre sobie!

— Możesz sprawdzić. Jest dziś posiedzenie u Kordelierów; chodźmy tam.

— Chodźmy! — odparł sierżant, — Obywatele sankiuloci, naprzód, marsz!

Klub zgromadzał się w starym klasztorze Kordelierów (Franciszkanów), przy ulicy Observance; za chwilę byliśmy na miejscu. Przyszedłszy do bramy, wyrwałem kartkę z notatnika, napisałem kilka słów ołówkiem i wręczyłem sierżantowi z prośbą, aby ją zaniósł Dantonowi, podczas gdy my pozostaniemy pod opieką kaprała i reszty patrolu. Sierżant wszedł do klubu i za chwilę powrócił z Dantonem, który na widok mój, zawołał:

— Jakto? Ciebie aresztowali? Ciebie, mojego przyjaciela, ciebie, przyjaciela Kamila? Ciebie, jednego z najlepszych republikanów, jacy istnieją.

— Ależ idź do diabła, obywatelu sierżancie, — dodał, zwracając się do przywódcy sankiulotów, — ręczę ci za niego! Wystarczy ci to?

— Ręczysz za niego, dobrze! Ale czy zaręczysz także za nią? — zapytał uparty sierżant.

— Za nią? — o kim mówisz?

— No o tej kobiecie!

— Za niego, za nią i za wszystkich z jego otoczenia! Czy jesteś zadowolony?

— Tak, jestem zadowolony! — odparł sierżant, — zwłaszcza, że ciebie widzę.

— O, darmo tę przyjemność możesz mieć! Napatrz się na mnie, dopóki tu stoję.

— Dzięki. Broń dalej interesów ludu, tak, jak dotąd, i bądź pewien, że lud ci się odwdzięczy!

— Tak, jestem tego pewien! — odparł Danton.

— Niech ci uściskę dłoń!

— Dlaczego nie!

I Danton podał mu prawicę.

— Niech żyje Danton! — ryknął sierżant.

— Niech żyje Danton! — zawtórowali sankiuloci.

I oddalili się niezwłocznie wraz ze swym dowódcą, który, uszedłszy dziesięć kroków, odwrócił się, zerwał czerwoną czapkę i jeszcze raz zakrzyknął: „Niech żyje Danton!“, a ludzie okrzyk ten powtórzyli.

Chciałem dziękować Dantonowi, gdy nagle usłyszeliśmy nazwisko jego, powtarzane kilkakrotnie na sali.

— Danton! Danton! — wołało mnóstwo głosów, — na trybunę!

— Wybacz, mój kochany! — rzekł do mnie, — Słyszysz? Daj rękę, bo muszę wracać. Sierżantowi podałem prawą rękę, tobie daję lewą: Kto wie? Może dzielny obywatel miał świerzbę.

Potem odwrócił się i zawołał tym potężnym głosem, który wzniewał burze na ulicy i uśmierzał je:

— Jestem! Idę!

I pospieszył do wnętrza klubu.

Zostałem przy bramie sam z moją nieznajomą.

— Dokąd mam teraz panią odprowadzić! — zapytałem. — Jestem do jej usług!

— No, do matki Ledieu! — odparła z uśmiechem. — Wszak wiesz pan, że to moja matka.

— Lecz gdzież mieszka matka Ledieu?

— Przy ulicy Ferou, Nr. 24.

— Chodźmy tedy do matki Ledieu, ulica Ferou, Nr. 24!

Przez całą drogę nie zamieliśmy ani słowa. Tylko przy blasku księżyca mogłem się jej przyglądać dowoli.

Była to śliczna osóbką, lat 20 — 22, brunetka o wielkich, niebieskich oczach, raczej wesołych, niż marzycielskich, o nosku cienkim i prostym, wargach filuternie wykrojonych, zębach jak perły, rączkach królowej i nóżkach dziecka. Przy pospolitym ubiorze córka matki Ledieu zachowała arystokratyczny

chód, który słusznie wzbudził nieufność dzielnego sierżanta i wojowniczego patrolu.

Znalazłszy się przed bramą, stanęliśmy i chwilę w milczeniu spoglądaliśmy na siebie.

— A teraz mój kochany Albercie! czego sobie życzysz? — zapytała nieznajoma z uśmiechem.

— Chcę pani powiedzieć, moja Solange, że nie warto było spotkać się, by się tak prędko rozstać.

— Wybacz pan, lecz sądzę że warto było, bo gdybym pana nie spotkała, musiałabym iść na odwach; poznanoby, iż nie jestem córką matki Ledieu, odkrytoby, że jestem arystokratką i prawdopodobnie uciętoby mi głowę.

— Przyznajesz więc pani, iż należysz do arystokracji?

— Nic nie przyznaję.

— No, no, — proszę mi przynajmniej powiedzieć swe imię.

— Solange.

— Wszak pani wie dobrze, że to imię, które jej nadałem przypadkowo, jest zmyślone.

— Wszystko jedno, podoba mi się i zatrzymuję je — dla pana przynajmniej!

— Dlaczego ma pani je zatrzymywać dla mnie, skoro się już nigdy nie zobaczymy?

— Tego nie powiedziałam. Mówię tylko, że gdybyśmy się mieli znów zobaczyć, to nie powinien pan wiedzieć, jak ja się nazywam, ani ja nie powinienam wiedzieć pańskiego nazwiska. Nazwałam pana Albertem, zachowaj to imię, jak ja zatrzymam miano Solange.

— Niech więc i tak będzie; lecz posłuchaj Solange!

— Słucham, Albercie.

— Jesteś arystokratką, czy tak?

— Choćbym nawet przeczyła, to pan byś to od-

gadł, nieprawdaż? Tak więc wyznanie moje straciłoby na wartości.

— I zapewne ścigają panią, jako arystokratkę?

— Tak przypuszczam.

— A pani ukrywa się przed pościgiem?

— Przy ulicy Ferou Nr. 24 u matki Ledieu, której mąż był stangretem u mego ojca. Jak pan widzi, nie mam dla pana tajemnic.

— A ojciec pani?

— Nie mam dla pana żadnych tajemnic, kochany Albercie, o ile one dotyczą mnie, lecz tajemnice mego ojca nie są moimi. Również i ojciec mój ukrywa się i czeka na sposobność opuszczenia kraju, to wszystko co mogę powiedzieć.

— A co pani zamyśla uczynić?

— Chcę wyjechać z ojcem, jeśli będzie można, jeśli nie, to on pojedzie sam a ja po nim.

— Dziś wieczorem, gdy panią zatrzymano, wracałaś od ojca?

— Tak jest.

— Słuchaj, droga Solange!

— Słucham.

— Widziałaś, co się stało dziś wieczór.

— Tak i to dało mi pojęcie o pańskim znaczeniu.

— Ach, niestety, moje znaczenie nie jest wielkie. Lecz mam kilku przyjaciół.

— Dziś wieczorem poznałam jednego z nich.

— I to, jak wiesz, jednego z najpotężniejszych.

— Czy liczy pan na jego wpływy, aby memu ojcu ułatwić ucieczkę?

— Nie, wpływy te zachowuję dla pani.

— A dla mego ojca?

— Dla niego mam inny środek.

— Czy być może! — zawołała Solange, chwytając mnie za rękę i patrząc na mnie błagalnie.

— Jeśli uratuje pani ojca, czy zachowasz o mnie dobre wspomnienie?

— Och będę ci wdzięczną do śmierci!

Powiedziała te słowa z wyrazem prawdziwej wdzięczności.

Potem zapytała błagalnym tonem:

— Lecz czy panu to wystarczy?

— Tak.

— A więc nie zawiodłam się, posiadasz pan szlachetne serce. Dziękuję ci w moim i w ojca imieniu i choćby panu w przyszłości miało się nie powieść, niemniej wdzięczna jestem za przeszłość.

— Kiedy się znów zobaczymy, Solange? —

— Kiedy mnie pan pragnie widzieć?

— Sądzę, że jutro będę miał dobrą wiadomość.

— Więc dobrze, zobaczymy się jutro.

— Gdzie?

— Tutaj, jeśli chcesz.

— Tutaj, na ulicy?

— Ach, mój Boże! Wszak pan widzi, że tu jeszcze jest naibezpieczniej. Rozmawiamy tu pod bramą już z pół godziny, a jeszcze żywa dusza nie przeszła.

— Dlaczegoż ja nie mogę przyjść do pani lub pani do mnie?

— Gdybyś pan przyszedł do mnie, naraziłbyś tych poczciwych ludzi, którzy mi użyczyli schronienia; ja, przychodząc do pana, naraziłabym się sama.

— Więc dobrze! Wezmę kartę od jednej z moich znajomych i dam ją pani.

— Tak, żeby pańską znajomą posłano pod gilotynę, w razie ujęcia mnie?

— Masz słuszość, wyrobię ci kartę na imię Solange.

Na pożegnanie chciałem ucałować jej rękę, ale nadstawiła mi czoło.

Nazajutrz o wpół do 10-tej wieczór byłem już pod bramą.

Solange otworzyła bramę po kwadransie. Każde z nas wyprzedziło umówioną godzinę.

Jednym skokiem stanąłem przy niej.

— Już widzę, że pan przynosi dobre wieści, — rzekła, uśmiechając się.

— Doskonałe. Naprzód, oto karta dla pani.

— Naprzód mój ojciec! — odsunęła ma rękę.

— Pani ojciec, jeśli zechce, jest uratowany.

— Jeśli zechce? mów pan, co ma czynić?

— Musi zaufać mi.

— To już sprawa załatwiona.

— Czy pani widziała się z nim?

— Tak!

— Odważyłaś się?

— Ha, tak być musiało; lecz Bóg czuwa!

— I powiedziałaś ojcu wszystko?

— Powiedziałam mu, że pan wczoraj uratowałeś mi życie i że być może to samo jutro uczynisz dla niego.

— Jutro, tak, właśnie jutro uratuję mu życie, jeśli zechce.

— Jakto? mów pan; doprawdy nasze spotkanie byłoby cudownem, gdyby się panu udało!

— Ale — — odparłem, wahając się.

— Ale?

— Pani nie może jechać z nim.

— Czyż nie powiedziałam panu, co postanowiłam uczynić w tym wypadku?

— Zresztą później prawdopodobnie uda mi się zdobyć i dla pani paszport.

— Mówmy najpierw o moim ojcu, a dopiero potem o mnie!

— No więc, powiedziałem już że mam przyjaciół, czy tak?

— Jednego z nich odwiedziłem dzisiaj.

— Cóż dalej?

— Jest to człowiek znajomy pani z nazwiska, którego imię jest rękojmią odwagi, uczciwości i honoru.

— Jego nazwisko?

— Marceau.

— Generał Marceau?

— Tak.

— Masz pan słuszość, jeśli on coś przyobieca, to dotrzyma z pewnością.

— A więc, — przyobiecał mi.

— Ach, Boże! co za szczęście! Co przyobiecał? mów pan!

— Przyobiecał przyjść nam z pomocą.

— W jaki sposób?

— W całkiem prosty. Kleber zamianował go naczelnym generałem armji zachodniej, więc jutro wieczorem odjeżdża.

— Jutro wieczorem! ale w takim razie braknie nam czasu na przygotowanie się.

— Nie potrzeba żadnych przygotowań.

— Nie pojmuję tego.

— Bierze on pani ojca ze sobą.

— Mego ojca!

— Tak, jako sekretarza. Skoro ojciec pani dostanie się do Wandei, wówczas da generałowi Marceau słowo, że nie będzie służył przeciwko Francji — i potem zniknie. Z Wandei uda się do Bretonji, stamtąd zaś do Anglii. Dostawszy się do Londynu zawiadomi panią, ja wyrobię paszport i połączysz się z ojcem.

— Jutro! — zawołała Solange, — mój ojciec odjedzie jutro!

— Lecz chwilki czasu niema do stracenia.

— Mój ojciec nic jeszcze nie wie o tem.

— Niech go pani zawiadomi.

— Dzisiaj wieczór jeszcze?

— Dziś wieczór.
— Lecz jak, o tej porze?
— Ma pani kartę i moje ramie.
— Ma pan rację. — Moja karta?
Dałem jej kartę; schowała za gors.
— A więc proszę o pańskie ramie!
Podałem jej ramie i poszliśmy.

Poszliśmy aż na plac Taranne, to jest do miejsca,
w którym spotkaliśmy się wczoraj.

— Proszę zaczekać tutaj! — rzekła.

Skłoniłem się i czekałem.

Zniknęła we wnęce starego pałacu Matignon i po-
wróciła po upływie kwadransa, mówiąc:

— Chodź pan! — Ojciec pragnie pana poznać
i podziękować mu.

Poprowadziła mnie w ulicę Saint-Gauillaume na-
przeciwko pałacu Mortemart.

Przybywszy tutaj, wydobyla z kieszeni klucz,
otworzyła małą boczną furtkę i, ująwszy mnie za rękę,
powiodła na drugie piętro; tutaj zapukała w sposób
widocznie umówiony.

Otworzył nam drzwi mężczyzna. Ubrany jak
rzemieślnik, zdawał się być z zawodu introligatorem.

Po pierwszych jednak słowach, wypowiedzianych
do mnie, po pierwszych wyrazach podziękowania, po-
znać można było wielkiego pana.

— Panie! — rzekł, — Opatrzność zesłała nam
Cie, to też witam Pana, jako zesłańca Opatrzności.
Czy istotnie możesz mnie uratować i czy chcesz to
uczynić?

Opowiedziałem wszystko, dodając, iż Marceau
bierze go w charakterze sekretarza i nie żąda w za-
mian nic, oprócz przyrzeczenia, że nie będzie walczył
na przyszłość przeciw Francji.

— Przyrzekam to panu z całego serca i to samo
przyrzeknę generałowi!

— Dziękuję w swoim i w jego imieniu.

— Lecz kiedy Marceau odjeżdża?
— Jutro.
— Czy mam jeszcze tej nocy udać się do niego?
— Jak pan woli; on pana przyjmie w każdej chwili.

Ojciec i córka zamienili spojrzenia.

— Myślę, ojczu, — rzekła Solange, — że lepiej byłoby udać się tam dziś wieczór.

— Dobrze, lecz gdyby mię zatrzymano? Wszak nie mam karty obywatelskiej.

— Oto moja.

— Ale, ale — pan?

— Och, jestem dość znany.

— Gdzie mieszka Marceau?

— Ulica Uniwersytecka Nr. 40, u siostry, panny Desgraviers-Marceau.

— Czy pójdzie pan ze mną?

— Pójdę za panem, by odprowadzić córkę z powrotem, gdy pan dojdzie na miejsce.

— Lecz jak Marceau pozna, że jestem tym samym, o którym mu mówiłeś?

— Proszę mu doręczyć tę trójkolorową kokardę, to jest znak umówiony.

— Jakże się mam wywdzięczyć memu dobroczyńcy?

— Proszę mi powierzyć uratowanie pańskiej córki, jak mi powierzyłeś swoje.

— Chodźmy.

Wziął kapelusze i zgasił światło.

Zeszliśmy na dół po schodach, oświetlonych blaskiem księżyca.

W bramie wziął córkę pod ramię i skierował się ku ulicy Uniwersyteckiej, przez ulicę Saints-Péres.

Szedłem za nimi ciągle w oddaleniu dziesięciu kroków.

Doszliśmy pod Nr. 40, nie spotkawszy po drodze nikogo. Zbliżyłem się do nich, mówiąc:

— Dobrze się zaczyna. Czy mam zaczekać, czy iść z panem?

— Nie, niech się już pan nie naraża. Proszę tu zaczekać na moją córkę.

Skłoniłem się.

— Jeszcze raz dziękuję i polecam pana Bogu! — rzekł, podając mi rękę. — Nie mam słów na wyrażenie mych uczuć dla pana. Spodziewam się, że Bóg pozwoli mi kiedyś odwdziżyć się.

Odpowiedziałem prostym uściskiem dłoni.

Wszedł do środka, za nim Solange. I ona, zanim weszła, uściśnęła mi rękę.

Po dziesięciu minutach brama otworzyła się.

— Jakże? — zapytałem.

— Doprawdy, pański przyjaciel zasługuje na tę nazwę, to znaczy, że jest szlachetnym człowiekiem. Ogdni, jak jestem szczęśliwa, że mogę pozostać przy ojcu aż do jego odjazdu. Jego siostra przygotowała dla mnie łóżko w swoim pokoju. Jutro o trzeciej popołudniu mój ojciec będzie już poza obrębem niebezpieczeństwa. Jutro, jeśli pan uważa, iż warto się pofatygować dla usłyszenia podziękowań córki, której ocaliłeś ojca, — proszę przyjść o dziesiątej wieczór, jak dzisiaj, na ulicę Ferou.

— O, przyjdę z pewnością. Czy ojciec nie dał pani żadnego zlecenia dla mnie?

— Kazał podziękować za kartę, — oto ona — prosi, byś pan mię możliwie szybko wysłał w jego ślady.

— Zrobię i to, jeśli tylko zechcesz, Solange, — odparłem ze ściśniętym sercem.

Uśmiechnęła się i rzekła:

— O, chciałby pan najprędzej pozbyć się mnie.

Ująłem jej rękę i przycisnąłem do serca.

Ona jednak podsunęła mi czoło do pocałunku, jak, wczoraj, mówiąc,:

— Do jutra!

Całując ją w czoło, przycisnąłem do piersi nie-tylko jej rękę, lecz i falujące łono, i bijące głośno serce.

Powróciłem do domu z takim szczęściem w duszy, jakiego jeszcze nigdy nie zaznałem. Czy to była świadomość spełnienia dobrego czynu? czy miłość dla tego godnego ubóstwienia dziewczęcia?

Nie wiem sam, czyn spał, czym czuwał. Wiem tylko, że cała harmonja natury dźwięczała mi w duszy. Wiem, że noc wydała mi się nieskończenie długa, dzień bez końca. Wiem, że mimo to chciałem czas powstrzymać w biegu, by nie stracić ani minuty z tych dni, które mi pozostawały do życia.

Następnego wieczora o dziewiątej byłem na ulicy Ferou.

O wpół do dziesiątej zjawiła się Solange.

Zbliżywszy się, rzuciła mi się na szyję, wołając:

— Ocalony! mój ojciec ocalony, a jego ocalenie zawdzięczam panu! O, jakże pana kocham za to!

W czternaście dni później otrzymała Solange list z zawiadomieniem, że jej ojciec znajduje się w Anglii.

Nazajutrz przyniosłem jej paszport.

Solange, ujrawszy go, rozplakała się, mówiąc:

— A więc nie kochasz mnie?

— Kocham cię ponad własne życie! — odrzekłem. — Ale dałem ojcu twemu słowo i muszę go dotrzymać.

— A więc, to ja złamię słowo! — oświadczyła. — Jeśli ty, Albercie, nie boisz się pozwolić mi odjechać, to ja boję się rozłączyć z tobą!

I pozostała!

VII.

Albert.

Gdy Ledru przerwał opowiadanie, zaległa chwila milczenia.

Wszyscy odczuwali, że opowiadanie dobiega końca, więc tym większa była nasza ciekawość. Jakoż mer ciągnął dalej:

— W ciągu trzech miesięcy od owego wieczora, kiedy miała odjechać Solange, nie wspomnieliśmy o rozstaniu ani słowa.

Życzyła sobie zamieszkać przy ulicy Taranne. Wynająłem mieszkanie na nazwisko Solange, gdyż jej istotnego nazwiska nie znałem, a i ona знаła mnie tylko, jako Alberta. Postarałem się o przyjęcie jej do instytutu żeńskiego, jako pomocnicy nauczycielki, by ją tem pewniej ukryć przed poszukiwaniami policji rewolucyjnej, wówczas czynniejszej niż kiedykolwiek.

Niedziele i czwartki spędzaliśmy razem w małym mieszkaniu przy ulicy Taranne; z okna sypialni mieliśmy widok na plac, na którym nastąpiło nasze pierwsze spotkanie.

Codzień odbieraliśmy listy: ona pod imieniem Solange, ja jako Albert.

Były to trzy najszcześniejsze miesiące w moim życiu.

W owym czasie nie zaniechałem starań o pozwolenie czynienia doświadczeń nad ścietemi głowami skazanych zaraz po egzekucji. Pozwolenie otrzymałem i doświadczenia przekonały mnie, że ból trwa dłużej, niż sama śmierć i że jest straszny.

— Na to się nie zgodzę stanowczo! — zawołał doktor.

— Niech pan słuca! — ciągnął Ledru. — Czy zaprzeczy pan może, iż nóż gilotyny przecina naj-

wrażliwsze miejsca naszego ciała, najwrażliwsze dlatego, że w tem miejscu gromadzą się nerwy? Zaprzeczy pan, że w szyi zbiegają się wszystkie nerwy górnej części ciała i szpik pacierzowy, będący źródłem nerwów dolnej części ciała? Zaprzeczysz pan, iż złamanie lub zmiążdżenie kręgosłupa powoduje najstraszniejszy ból, jakiego doznać może istota ludzka?

— Przyznaję to, — odparł doktor, — lecz ból ten trwa zaledwie parę sekund.

— O, jestem innego zdania! — zawołał mer tonem głębokiego przekonania, — a nawet przypuściwszy, że trwa on parę sekund tylko, to jednak czucie, osobowość, nasze „ja“ pozostaje żywe w ciągu tych kilku sekund; głowa słyszy, widzi, czuje i zdaje sobie sprawę ze swej strasznej sytuacji. Któż może wiedzieć, czy krótkie trwanie cierpienia nie znajduje równoważnika w niesłychanym ogromie tego bólu?

— A więc pańskim zdaniem, uchwała konstytuanty, wprowadzająca napowrót gilotyne zamiast szubienicy, była humanitarnym błędem i wieszanie byłoby lepsze od ścięcia?

— Bezwiątpienia, niejednen powiesił sie lub został powieszony i przywrócony do życia; ci też mogli mówić o wrażeniach doznanych. Jest to coś w rodzaju porażenia, to jest głęboki sen bez osobliwszego bólu, bez uczucia grozy, coś jakby płomień, jaśniejący przed oczyma i zwolna przechodzący w barwę niebieską, a później w ciemność, gdy się popada w omdlenie. Ależ, doktorze! pan wiesz to lepiej, niż kto inny. Gdy naciśnie się palcem mózg w miejscu, gdzie brakuje kawałka czaszki, ten człowiek nie odczuwa żadnego bólu, lecz poprostu zasypia. To samo dzieje się, gdy mózg doznaje ucisku przez gwałtowny napływ krwi, ponieważ krew spływa do mózgu przez arterje mózgowe, biegnące

przez kostne kanały szyi, wskutek czego one nie doznają ściśnienia; natomiast krew, chcąc odpłynąć z mózgu przez tętnice szyi, zostaje wstrzymana, gdyż szyję i jej tętnicę ściska stryżek.

— Przypuśćmy, — zgodził się doktor, — lecz powróćmy do doświadczeń. Chciałbym coś wreszcie usłyszeć, o tej głośnej, mówiącej głowie.

Zdawało mi się, że usłyszałem westchnienie, wydobywające się z piersi pana Ledru. Twarzy jego nie mogłem widzieć, gdyż była ciemna noc.

— Istotnie, — rzekł — oddalam się od przedmiotu. Powróćmy do doświadczeń!

Niestety materiału doświadczalnego nie brakowało mi.

Egzekucje wówczas doszły do ogromnej liczby; codziennie gilotynowano po 30—40 osób, a na placu Rewolucji spływało tyle krwi, że naokoło szafotu musiano wykopać rów głębokości trzech stóp. Rów przykryty był deskami. Jedna z tych desek usunęła się pod stopami 8-letniego dziecka, które wpadło w ów straszny rów i utopiło się.

Nie potrzebuję dodawać, iż nie mówiłem Solange, czem zajmuję się cały dzień; zresztą muszę wyznać, iż początkowo te biedne ludzkie szczatki budziły we mnie odrazę i obawiałem się, iż moje eksperymenty do bólu śmierci dodadzą nowe cierpienia. Wkońcu jednak uspokoiłem swe skrupuły refleksją, iż te doświadczenia mają służyć na pożytek całego społeczeństwa, i że może kiedyś, jeśli rezultaty mych spostrzeżeń przedstawię jakiemuś ciału ustawodawczemu, może być zniesiona kara śmierci.

Rezultaty mych spostrzeżeń zapisywałem skrętnie w dzienniku.

W ciągu dwóch miesięcy poczyniłem wszelkie możliwe doświadczenia nad istnieniem życia po ścieciu. Chciałem jednak dokonywać ich w miarę możliwości zapomocą galwanizmu i elektryczności.

Dano mi do dyspozycji wszystkie głowy i ciała ścietych, które miały być pochowane na cmentarzu Clamart.

W małej kapliczce w rogu cmentarza urządziłem sobie laboratorium.

Miałem tam maszynę do elektryzowania i dwa czy trzy przyrządy, zwane ekscytatorami.

O piątej rano nadjeżdżał śmiertelny wóz. Ciała leżały jedno na drugim na dnie, głowy osobno w worku.

Za każdym razem brałem dwie lub trzy głowy, jedno lub dwa ciała; reszta szła do wspólnego dołu.

Na drugi dzień te ciała i głowy, z którymi już porobiłem doświadczenia, dołączano do świeżo nadeszłych. Przy eksperymentach zawsze prawie pomagał mi mój brat.

Wśród tego ustawicznego stykania się ze śmiercią, moja miłość do Solange rosła z każdym dniem. I ona, biedactwo, kochała mnie całym sercem.

Często myślałem o ożenieniu się z nią, nieraz mówiliśmy o szczęściu takiego połączenia; jednak, chcąc zostać mą żoną, musiałaby wyjawić swoje nazwisko, nazwisko emigranta-arystokraty.

Ojciec pisał do niej kilkakrotnie, by się śpieszyła z odjazdem, lecz ona doniosła mu o naszej miłości i prosiła o zezwolenie na małżeństwo. Zezwolenie nadeszło; z tej strony więc nic nie stało na przeszkodzie naszemu związkowi.

Tymczasem pogrążył nas w głębokim smutku jeden z najstraszniejszych procesów, jakie rozgrywały się w owym czasie.

Był to proces królowej Marji Antoniny.

Pełne udręczeń przesłuchiwanie, rozpoczęte 4 października odbywało się w pośpiesznym tempie; 14 października stanęła przed trybunałem rewolucyjnym, 16-go o 4 nad ranem została skazana na

śmierć, a o 11-tej tegoż samego dnia zginęła na szafocie.

Rano otrzymałem od Solange list, w którym pisała mi, że takiego dnia nie może spędzić bez widzenia się ze mną.

Przybyłem około drugiej do naszego małego mieszkanka przy ulicy Taranne i zastałem Solange we łzach.

O, dzień ten na zawsze pozostanie w mej pamięci! Była to środa; w Paryżu panował nie tylko smutek, lecz groza!

I ja uczuwałem dziwne ściśnięcie serca, coś jakby przecucie wielkiego nieszczęścia. Usiłowałem pocieszyć Solange, płaczącą w mojem objęciu, lecz samemu mi brakło w sercu choć promyka radości.

Noc spędziliśmy razem; noc smutniejszą, niż dzień. Pamiętam, iż jakiś pies, zamknięty w pokoju pod nami, od drugiej godziny ciągle wyl.

O przyczynie tego wycia dowiedzieliśmy się nazajutrz rano. Pan tego zwierzęcia wyszedł, zabrawszy klucz ze sobą; na ulicy zatrzymano go, zaprowadzono przed trybunał rewolucyjny, o 3-ej skazano na śmierć, o 4-ej ścięto.

Nauka w szkole, w której pracowała Solange, zaczynała się o 9 rano. Szkoła ta leżała za ogrodem botanicznym.

Zwlekałem z pożegnaniem; Solange sama długo nie mogła oderwać się odemnie. Lecz dwudniowa nieobecność wzbudziłaby podejrzenie, które dla Solange — w jej położeniu — mogłoby się stać niebezpieczne.

Sprowadziłem powóz i towarzyszyłem jej aż do rogu ulicy Fosses-Saint Bernard; tutaj wysiadłem, pozostawiając ją samą. Przez całą drogę trwaliśmy w uścisku, nie mówiąc ani słowa; lzy nasze, ściekające po policzkach do ust, zaprawiały słodycz pocałunków goryczą.

Wysiadłszy z powozu, nie poszedłem w swoją drogę, lecz stałem jak przykuty na jednym miejscu, goniąc oczyma ukochaną. Ujechawszy ze dwadzieścia kroków, powóz zatrzymał się; Solange wychyliła głowę przez okno, jakby odgadując, że jeszcze nie odszedłem. Podbiegłem do niej, wskoczyłem do powozu i zamknawszy okna, znowu chwyciłem ją w objęcia. Wtem wybiła dziewiąta na zegarze Saint-Etienne-du-Mont. Otarłem jej łzy, zamknąłem usta potrójnym pocałunkiem, wyskoczyłem z powozu i oddaliłem się szybko.

Zdawało mi się, że Solange woła za mną, lecz aby łzy i opóźnienie na lekcje nie zwróciły uwagi, postanowiłem nie oglądać się.

Zrozpaczony powróciłem do domu; resztę czasu spędziłem na pisaniu listu do Solange.

Zaniósłszy ten gruby list na pocztę, zastałem już pismo od ukochanej. Zawiadamiła mnie, że za opóźnienie ukarano ją wymówką i zagrożono jej na przyszłość odebraniem wychodniej.

Przytem Solange wyrażała pewną obawę, że list od ojca, który nadszedł do pensjonatu podczas jej nieobecności, był przez kogoś otwierany.

Noc i dzień następny przepędziłem w niepokoju. Jak zwykle, napisałem list do Solange, poczem mając tego dnia robić swoje doświadczenia, po południu poszedłem do brata, by go zabrać ze sobą do Clamart.

Nie zastawszy go w domu, poszedłem sam. —

Była wstrętna pogoda; rozżalona natura wylewała potoki deszczu, który zapowiada bliską zimę. Idąc, słyszałem wycia, wywołujące nazwiska tych, którzy zostali tego dnia skazani na śmierć. Lista ich była długa; byli tam mężczyźni, kobiety i dzieci. Krwawe żniwo miało mi dostarczyć tego wieczora wiele materiału do moich doświadczeń.

Dni były już bardzo krótkie. Gdym o czwartej zaszedł do Clamart, nastąpiła już prawie noc.

Widok tego cmentarza, tych niezliczonych świeżo wykopanych grobów, tych niewielu drzew, chwiejących się jak szkielety, był ponury i pełen grozy.

Oprócz wyrzuconej ziemi, widać tu było tylko chwasty i trawę. Codzień wykopywana ziemia pochłaniała trochę tej zieleni.

Wśród tych mogił na świeżą porcję oczekiwał nowy dół. Wiedziałem, że skazanych będzie wielu, gdyż dół był głębszy niż zwykle.

Gdym stanął nad brzegiem, noga mi się poślizgnęła i omal nie wpadłem do dołu. Włosy mi się zjeżyły i drżąc powróciłem do laboratorium.

Zapaliłem świecę, postawiłem ją na doświadczalnym stole i zamyśliłem się o tej biednej królowej, którą znałem niegdyś tak piękna, tak szczęśliwą i kochana: która dzień przedtem jeszcze odbierała prośby i błogosławieństwa ludu, — później na zwykłym wózku zawieszona została na szafot, a jej ciało, oddzielone od głowy, spało teraz snem wiecznym w ogólnej kostnicy straconych biedaków.

Rozmyślenia te przerwała bijąca o szybe fala deszczu i jęczące w gałęziach wycie wichru, który przejął mnie lekkiem.

Z tym odgłosem zmieszał się wkrótce głuchy grzmot, tylko że ten grzmot nie rozległ się wśród chmur, lecz na ziemi.

Był to odgłos kół czerwonego wózka śmierci, jadącego z placu Rewolucji na cmentarz Clamart.

Drzwi kapliczki otwarty się i weszło dwóch ludzi, ociekających wodą, dźwigając worek.

Jeden z nich był to ten sam Legros, którego odwiedziłem w więzieniu, drugim był grabarz.

— Tutaj, panie Ledru, — rzekł do mnie pomocnik kata, — jest pański ładunek; nie ma się pan

co śpieszyć dzisiaj wieczór, zostawimy panu cały ten kram; dopiero jutro się to zakopie: do licha, chyba nie dostaną kataru, jeśli poleżą całą noc na powietrzu!

Ci dwj służy śmierci, śmiejąc się szkaradnie, postawili worek w kacie, gdzie niegdyś stał ołtarz.

Wyszli, nie zamknawszy drzwi za sobą, wskutek czego przeciąg począł chwiać płomieniem świecy, która i tak słabo się paliła.

Słyszałem, jak wyprzęgli konie, zamkneli cmentarz i odeszli, pozostawiwszy wózek, napełniony trupami.

Miałem już wielką ochotę odejść za nimi, jednak, sam nie wiem, co mię zatrzymało na miejscu i przejęło groza.

Wprawdzie nie czułem lęku, lecz to wycie wichru, szum deszczu, skrzywienie drzew i świst przeciągu, chwiejącego światłem świecy — wszystko to w głowie mej wzbudziło grozę, przejmującą dreszczem całe ciało.

Naraz zdało mi się, że jakiś łagodny i żałosny głos, głos wychodzący z wnętrza kaplicy, wymówił imię: Albert!

Och! zerwałem się. Albert! — Jedna, jedyna na świecie osoba nazywała mnie tem imieniem.

Oczy me błędziły po całej kaplicy, której w całości nie zdołało rozjaśnić światło świecy — i zatrzymały się na worku, stojącym w kacie, którego krwawe, pofałdowane płótno zdradzało straszną zawartość.

W chwili, gdy oczy moje spoczęły na worku, ten sam głos, lecz słabiej i żałośniej powtórzył znów to imię:

— Albert! —

Zatoczyłem się, przejęty zgrozą: ten głos zdawał się wychodzić z głębi worka!

Uszczypnąłem się dla przekonania, czy nie

śnie; potem sztywno, jak kamienny posąg, z wyciągniętymi rękoma zbliżyłem się do worka i zanurzyłem w nim rękę.

Wówczas wydało mi się, że jakieś jeszcze ciepłe wargi dotknęły mej dłoni.

Opanował mię taki strach, że jego nadmiar sam dodał mi odwagi. Wyjąłem ową głowę, zatoczyłem się z powrotem na swój fotel i położyłem głowę na stole.

Nagle z gardła wydarł mi się krzyk przeraźliwy. Ta głowa, o wargach jeszcze ciepłych, o oczach wpół przymkniętych, była głową Solange!

Przy trzecim okrzyku oczy jej otwarły się, spojrzały na mnie; potem stoczyły się z nich dwie łzy i jakgdyby dusza uleciała razem z niemi, powieki zamknęły się znowu.

Powstałem oszalały, nieprzytomny, wściekły, chciałem uciekać, lecz przy powstaniu surdudem zaczepiłem o stół; stół się przewrócił, świeca upadła i zgasła, głowa stoczyła się i ja upadłem. Gdym leżał na ziemi, zdało mi się, że głowa po pochyłej posadzce toczy się ku mojej głowie i jej wargi dotknęły moich. Zimny dreszcz wstrząsnął całym mem ciałem; jęknąłem i straciłem przytomność.

Nazajutrz rano o szóstej grabarze znaleźli mię tak zimnego, jak posadzka, na której leżałem.

Okazało się, że istotnie, Solange — którą zdradził list ojca — została wczoraj aresztowana, osądzona i stracona.

Ta głowa, która przemówiła do mnie, te oczy, które na mnie spojrzały, te usta, które złożyły pocałunek na moich wargach — to były usta, oczy i głowa Solange!

— Wiesz, Lenoir! — dodał pan Ledru, zwracając się do kawalera, wówczas zaprawdę bliski byłem śmierci,

VIII.

Kot, odźwierny i szkielec.

Opowiadanie pana Ledru wywarło na słuchaczach wstrząsające wrażenie. Wszyscy siedzieli nieruchomo, milcząc. Tylko biała dama podniosła się na chwilę z kanapy, lecz wkrótce osunęła się znów na wezglowie, zaznaczając obecność swą jedynie westchnieniem. Co do mnie, to wbijałem sobie w pamięć wszelkie szczegóły opowiadania, by je móżdż pewnego dnia wiernie odtworzyć.

Pierwszy ksiądz Moulle przerwał milczenie, i jakgdyby wyrażał zdanie ogólne, rzekł:

— Wierzę zupełnie w to, coś opowiedział, Ledru! Lecz jak sobie tłómaczysz te fakty, żeby użyć materjalnych wyrażeń?

— Nie tłómaczę ich sobie, opowiadam je tylko — odparł pan Ledru.

Cokolwiek się dało rzec o istnieniu życia po ścieciu, zauważył doktor to chyba przyzna pan, że niemożliwem jest, aby odcięta głowa jeszcze po upływie dwóch godzin mówiła, patrzyła i działała?

— Gdybym to sobie umiał być wytłómaczyć, kochany doktorze, nie byłbym po tem wydarzeniu wpadł w tak groźną chorobę, — odparł Ledru.

— Ależ doktorze! — wtracił kawaler Lenoir, — jakżeż sam to wytłómaczysz, Chyba nie posądzasz naszego gospodarza, iż opowiedział nam zmyśloną historję gwoźli rozerwania nas; także i jego choroba jest faktem.

— Do licha! To mi dopiero argument! Panu Ledru skutkiem halucynacji zdawało się, że słyszał i widział to wszystko, co dlań było w skutku równoznaczne z istotnem widzeniem i słyszeniem. Organy, doprowadzające spostrzeżenia do mózgu, mogą być uszkodzone wskutek wpływu zewnętrz-

no i w tym wypadku przesyłają fałszywe spostrzeżenia; mniemając, iż się słyszy, — słyszy się istotnie; mniemając, że się widzi, — widzi się rzeczywiście. Zimno, deszcz, ciemność zamąciły organy zmysłów pana Ledru, — oto wszystko. Przecież i obłąkany widzi i słyszy to, co mu się tylko zdaje. Halucynacja jest to krótkotrwałe, chwilowe obłąkanie; zachowujemy jeno wspomnienie o niej, gdy zniknie, — oto wszystko!

— Lecz jeśli halucynacja nie zniknie? — zapytał ksiądz Moulle.

— No, to wówczas choroba przechodzi w stan nieuleczalny i powoduje śmierć.

— Doktorze, czy leczyłeś już kiedy tego rodzaju choroby?

— Nie, lecz znałem lekarzy, którzy z niemi mieli do czynienia, między innymi pewnego angielskiego lekarza, który towarzyszył Walter Scottowi w jego podróży po Francji.

— I ten lekarz opowiadał panu?...

— Coś podobnego do historii, podanej nam przed chwilą przez naszego gospodarza, coś nadzwyczajnego.

— I objaśnisz pan to również z materialnego punktu widzenia? — spytał ksiądz Moulle.

— Rozumie się.

— Czy mógłbyś nam opowiedzieć owe zdarzenie, przytoczone przez angielskiego doktora?

— Owszem.

— O, opowiedz, doktorze, opowiedz nam!

— Mam opowiedzieć?

— Ależ tak! — zawołali wszyscy niecierpliwie.

— Dobrze, Lekarz, który towarzyszył Walter Scottowi w podróży po Francji, nazywał się Simpson; był to jeden z najwybitniejszych członków medycznego fakultetu edynburskiego, wskutek czego

utrzymywał stosunki z najznakomitszymi osobistościami tego miasta.

Miedzy nimi był pewien sędzia, nazwisko którego zataił przedemną w opowiedzianej historii.

Sędzia ów, zaliczający się do stałych pacjentów naszego doktora, nagle bez widocznej przyczyny postradał wzrok i popadł w ciężką melancholję. Rodzina zasięgała porady u doktora, ten ze swej strony wypytywał pacjenta, ale nie mógł z niego nic wydobyć, prócz niejasnych, zagadkowych odpowiedzi, te zaś bardziej jeszcze podniecały ciekawość lekarza, wskazując na jakąś tajemnicę, której chory nie chciał wyjawiać.

Wreszcie na skutek usilnych nalegań Symphsona sędzia wyznał ze smutnym uśmiechem:

— A więc tak, jestem chory, a choroba ta, kochany doktorze, jest tem bardziej nieuleczalna, że istnieje tylko w mej wyobraźni.

— Jakto — w wyobraźni?

— Tak, popadam w obłęd!

— W obłęd? Co mówisz? Spojrzenie masz czyste, głos spokojny, (tu ujął go za rękę) — puls prawidłowy.

— To właśnie, mój drogi, jest przewrca stroną stanu, w jakim się znajduję, że mogę zdawać sobie z niego sprawę.

— Na czem polega twój obłęd?

— Zamknij drzwi doktorze, by nam nie przeszkodzono, — opowiem ci całą historję.

Doktor zamknął drzwi i usiadł koło przyjaciela.

— Pamiętasz, — zaczął sędzia, — ostatni proces kryminalny, w którym wydałem wyrok?

— Tak, proces szkockiego bandyty, którego skazałeś na szubienicę i którego też powieszono.

— Istotnie: Słuchaj więc: w chwili, gdym wygłaszał wyrok, w oczach bandyty błysnęły płomienie i, grożąc, pokazał mi pięść. Nie zważałem na

to; tego rodzaju groźby ze strony skazanych zdarzają się często. Na drugi dzień po egzekucji, przyszedł do mnie kat, prosząc pokornie o darowanie tych odwiedzin i oświadczył, że sumienie nakazuje mu zawiadomić mnie o pewnej okoliczności: oto bandyta, konając rzucił na mnie straszne przekleństwo i zapowiedział, że na drugi dzień o szóstej, t. j. o tej godzinie, w której został powieszony dowiem się coś o nim.

Spodziewając się orężnej zemsty ze strony współników zbrodniarza za nadejściem godziny szóstej zamknąłem się w swoim pokoju i położyłem parę pistoletów koło siebie.

Szósta wybiła na ściennym zegarze; ostrzeżenie kata dawało mi w ciągu całego dnia wiele do myślenia. Lecz ostatnie uderzenie zegara przebrzmiało, a nie słychać było nic, prócz jakiegoś mrużenia, którego przyczyny nie mogłem dociec. Obróciwszy się, spostrzegłem wielkiego czarnego kota. W jaki sposób zwierzę to dostało się do pokoju, nie wiedziałem, drzwi i okna były pozamykane. Widocznie musiało wejść za dnia i nie mogło się wydostać.

Od rana nie miałem nic w ustach, zadzwoniłem więc na służącego, ponieważ zamknąłem się szczelnie, musiałem wstać i otworzyć drzwi. Powiedziałem mu o czarnym kocie, lecz napróżno szukaliśmy obaj po całym pokoju; kot zniknął.

Nie zwracałem już więcej uwagi na te okoliczności; upłynął wieczór, noc przeszła bez wypadku, jak również i dzień następny. Jednak z uderzeniem godziny szóstej usłyszałem za sobą znowu pomruk i ujrzałem tego samego kota.

Tym razem kot skoczył mi na kolana.

Nie czułem żadnej odrazy do kotów, lecz ta poufałość zrobiła na mnie nieprzyjemne wrażenie. Spędziłem go z kolan. Zaledwie jednak znalazł się

na ziemi, skoczył na mnie powtórnie. Straciłem go znowu, lecz również bezskutecznie. Wreszcie wstałem i zacząłem chodzić po pokoju tam i nazad; kot szedł za mną krok w krok. Zniecierpliwiony tem natręctwem, zadzwoniłem; wszedł mój służący. Teraz kot uciekł pod łóżko i szukaliśmy go napróżno: zniknął bez śladu.

Wieczorem wyszedłem na miasto, odwiedziłem kilku przyjaciół, poczem powróciłem do domu i otworzyłem bramę własnym kluczem.

Nie mając światła, wstępowałem ostrożnie na schody, by się nie potknąć. Wchodząc na ostatnie stopnie, usłyszałem służącego, rozmawiającego z pokojówką mego żony.

Ponieważ wymówiono moje nazwisko, nadstawiłem uszu i usłyszałem, że opowiadał jej owo zdanie z wczorajszego dnia i kończył temi słowy:

— Mój pan musi mieć bzika, bo w pokoju nie było żadnego czarnego kota, jestem pewien tego!

Tych kilka słów przeraziło mię; albo zdarzenie było rzeczywiste, albo urojone; jeśli było istotne, to znajdowałem się pod wpływem nadprzyrodzonych mocy; jeśli było złudą i omamieniem, jeśli mniemałem, iż widzę coś, co nie istniało, to dostałem bzika, jak się wyraził mój służący.

Możesz sobie wyobrazić, drogi przyjacielu, z jaką mieszaniną trwogi i niecierpliwości oczekiwałem szóstej godziny; następnego dnia, pod pierwszym lepszym pretekstem zatrzymałem służącego w moim pokoju, szósta wybiła, przy ostatniem uderzeniu usłyszałem ten sam szmer i znów uirzałem kota. Siedział koło mnie.

Z początku nie mówiłem nic w nadziei, że służący zauważy zwierzę i pierwszy się z tem odezwie, lecz on wychodził i wchodził do pokoju, jakby nic nie dostrzegając.

Urządziłem się tak, aby wykonując dane zlece-

nie, musiał przejść przez to miejsce, na którym się kot znajdował.

— Janie! — rzekłem — postaw dzwonek na stole!

Stół stał tuż przy łóżku, dzwonek zaś leżał na kominku; by przejść tę drogę, musiał nastąpić na kota.

Jan wykonał zlecenie, lecz w chwili, gdy już miał nogą nadeptać kota, ten skoczył na moje kolana.

Jan nie widział go, lub przynajmniej zdawało się, że nie widział.

Zimny pot wystąpił mi na czoło i w straszny sposób przypomniały mi się słowa: „Nasz pan musi mieć bzika“.

— Janie, — zapytałem, — czy widzisz co na moich kolanach?

Jan popatrzał na mnie. Potem, jak człowiek, który powziął jakieś postanowienie, odrzekł.

— Tak proszę pana, widzę kota!

Odetchnałem.

Wziąłem kota i rzekłem:

— A więc Janie, wynieś go, proszę cie!

Jan nadstawił ręce, położyłem na nich kota, poczem służący na moje skinienie wyszedł.

Uspokoilem się nieco; przez następne dziesięć minut z pewną trwogą oglądałem się dokoła, nie widząc jednak żadnego żyjącego stworzenia z jakiegokolwiek gatunku zwierząt, postanowiłem przekonać się, co Jan zrobił z kotem.

Opuściłem pokój w zamiarze wypymania Jana. Stanąwszy na progu salonu, usłyszałem głośny śmiech, dochodzący z gotowalni żony. Podszedłem cicho na palcach i usłyszałem głos Jana, mówiącego do pokojówki:

— Czy wiesz? Myślałem, że mój pan dostaje bzika, ale nie, — on już go ma! Ciągłe widzi czar-

nego kota, którego wcale niema. Dziś wieczór zapytał mnie, czy widzę tego kota u niego na kolanach.

— I co mu odpowiedziałeś? — ciekawie zapytała pokojówka.

— Naturalnie odpowiedziałem, że go widzę. Zgadnij teraz, co on zrobił.

— Nie zgadnę.

— Wziął kota z kolan, położył mi go na rękach i powiedział: — Wynieś go, zaraz! — Wyniosłem, a pan był zadowolony.

— Gdzietaj! Przecie nasz pan wyobraża sobie tego kota, ale co mi do tego! Wyniosłem kota. Więc naprawdę.

Brakło mi już odwagi słuchać dalej. Ciężko westchnąwszy, wróciłem do pokoju.

Pokój był pusty...

Na drugi dzień o szóstej mój towarzysz zjawił się jak zwykle i zniknął dopiero o świcie następnego dnia.

— Co tu mówić kochany przyjacielu! — ciągnął chory. Cały miesiąc dzień w dzień powtarzało się to zjawisko i już począłem się do niego przyzwyczajać, lecz trzydziestego dnia po straceniu bandyty — o szóstej kot się nie pojawił!

Myślałem, że jestem już wolny od niego i z radości nie mogłem usnąć. Nazajutrz czas mi się dłużył okropnie i z niecierpliwością oczekiwałem fatalnej godziny. Od piątej do szóstej oczu nie odrywałem od wskazówek zegara, śledząc ich bieg z minuty na minutę. Wreszcie duża wskazówka stanęła na cyfrze XII. Dał się słyszeć zgrzyt mechanizmu i zegar zaczął bić: rozległo się uderzenie pierwsze; drugie, trzecie, czwarte, piąte i szóste.

Z uderzeniem szóstej drzwi otworzyły się i ujrzałem wchodzącego człowieka, który był ubrany, jak odźwierny pewnego lorda-porucznika Szkocji. Pierwszą mą myślą było, iż lord-porucznik

przysła mi posłańca i wyciągnąłem rękę ku przybyszowi, lecz on, nie zważając na ten ruch, stanął za moim fotelem.

Nie potrzebowałem się odwrócić, by go ujrzeć, gdyż siedziałem naprzeciw zwierciadła, w którym mogłem obserwować przybysza.

Wstałem i począłem chodzić po pokoju. Nieznajomy postępował za mną krok w krok.

Powróciłem na swoje miejsce i zadzwoniłem.

Wszedł mój służący; lecz zdaje się tak samo nie widział odźwiernego, jak przedtem kota.

Kazałem mu odejść i pozostałem sam na sam z tą osobliwą postacią, której mogłem przyglądać się dowoli.

Odźwierny ubrany był w liberję dworską: włosy z harbejtem, szpada przy boku, haftowana kamizelka i kapelusz pod pachą.

O dziesiątej położyłem się do łóżka, przybysz zaś noc spędził możliwie wygodnie, usiadł sobie na fotelu naprzeciwko łóżka.

Obróciłem się do ściany, nie mogąc jednak zasnąć, przyczem w świetle lampy nocnej ciągle widziałem nieznanomego, siedzącego w fotelu.

I on też nie spał.

Wreszcie pierwsze promienie świtu wpadły przez żaluzję do sypialni; odwróciłem się, by popatrzeć na mojego człowieka, lecz ten zniknął — fotel był próżny.

O zjawisku tem myślałem cały dzień.

Wieczorem było przyjęcie u Wielkiego Komisarza Kościoła: za pięć szóstą zawołałem służącego i kazałem mu przygotować odświeżne ubranie, wreszcie poleciłem mu zamknąć drzwi.

Uczynił to.

Przy ostatniem uderzeniu szóstej utkwiałem oczy we drzwiach: otwały się i odźwierny wszedł.

Podszedłem ku drzwiom i zbadałem je: były

zamknięte, rygle nie były odsunięte. Odwróciłem się; odźwierny stał za moim fotelem; Jan krzątał się po pokoju, a mina jego nie zdradzała, jakoby co zauważył.

Jasnem było, że nie dostrzega człowieka, jak przedtem nie dostrzegał zwierzęcia.

Począłem się ubierać.

Zauważyłem jednak dziwną rzecz; oto mój nowy gość z nadzwyczajną starannością pomagał Janowi we wszystkich czynnościach, o czym tenże naturalnie nic nie wiedział. Gdy np. Jan trzymał mój surdut za kołnierz, to widmo ujmowało go za poły; gdy Jan podawał mi spodnie za sprzączkę, postać trzymała je za nogawice.

Nigdy jeszcze nie miałem tak usłużnego lokaja. Nadeszła godzina wyjazdu.

Teraz odźwierny, zamiast iść za mną, wyprzedził mnie, przesunął się przez drzwi pokoju, zeszedł po schodach, potem stanął za Janem, otwierającym mi drzwiczki powozu, przyczem wciąż trzymał kapelusz pod pachą, gdy zaś Jan stanął na swem miejscu z tyłu powozu, widmo weszło na kozioł i siadło obok stangreta, który się posunął w prawo jakgdyby robił mu miejsce.

Powóz zatrzymał się przed bramą domu Wielkiego Komisarza Kościoła: Jan otworzył drzwiczki; widmo już było za nim na swem zwykłym miejscu. Gdym wysiadł, pospieszyło przedemną, idąc powiedzy dwoma szeregami służby, zgromadzonej w przedsionku, i oglądając się, czy ide za nim.

Nagle przyszło mi na myśl wystawić stangreta na próbę, podobnie jak poprzednio Jana.

— Patryku! — zagadnałem — co to za człowiek siedział koło ciebie?

— Jaki człowiek, Wasza Wielmożność? — zapytał stangret.

— Ten człowiek, który siedział koło ciebie na koźle.

Patryk zrobił wielkie oczy, spozirzał dokoła zdziwiony.

— Już dobrze, — rzekłem omyliłem się.

Wszedłem do środka.

Odźwierny stał na schodach i czekał na mnie. Widząc mnie nadchodzącego, poszedł dalej i wszedł na salę przyjęć, jakby chciał oznajmić moje przybycie. Gdy już był na sali, udał się do przedpokoju i zajął tam należne sobie miejsce.

Jak dla Jana i Patryka, — tak i dla wszystkich zjawisko było niewidzialne.

Wówczas to niepokój mój zamienił się w przerażenie, gdyż zrozumiałem, że istotnie dostaję obłędu.

Tego wieczora wszyscy zauważyli zmianę, zaszła we mnie. Każdy pytał, co takiego zaprzęta mi umysł.

Zastałem moje widmo w przedpokoju. Jak przedtem, tak i teraz odźwierny szedł przedemną, zeszedł po schodach, towarzyszył mi do domu, wszedł za mną do pokoju i jak poprzedniego dnia, usiadł w fotelu.

Wówczas chciałem się przekonać, czy to zjawisko jest czemś rzeczywistym, czemś namacalnym. Przemógłszy się, przystąpiłem do fotelu i usiadłem w nim.

Nie uczułem nic, natomiast w lustrze zobaczyłem widmo stojące za mną.

Położyłem się do łóżka dopiero o pierwszej w nocy. Leżąc, widziałem odźwiernego siedzącego w fotelu.

O świcie zniknął.

Zjawisko to powtarzało się cały miesiąc.

Tym razem nie wierzyłem już, jak poprzednio, w całkowite zniknięcie, lecz spodziewałem się ja-

kiejs nowej, strasznej przemiany i oczekiwałem najbliższego dnia ze zgrozą.

Następnego wieczoru, z uderzeniem szóstej, usłyszałem lekki szmer pomiędzy kotarami mego łóżka i w przestrzeni pomiędzy nimi a ścianą ujrzałem szkielet.

Kościotrup stał nieporuszenie i patrzył na mnie pustemi oczodołami. Powstawszy, poczałem się przechadzać po pokoju. Jego głowa obracała się za mną, oczy nie odrywały się od mej osoby ani na chwilę, lecz korpus stał na miejscu.

Tej nocy nie miałem odwagi położyć się do łóżka. Spałem, a raczej czuwałem z zamkniętymi oczami w fotelu, w którym niegdyś siadywał odźwierny-widmo. Ach, wolałbym teraz jego obecność!

Nad ranem szkielet zniknął.

Kazałem Janowi łóżko przestawić na inne miejsce i zwinąć kotary.

Z ostatniem uderzeniem szóstej godziny, usłyszałem znów ten sam szmer, ujrzałem kotary poruszające się, potem spostrzegłem dwie ręce szkieletu, rozwijające napowrót kotary łóżka, nareszcie kościotrup zajął to samo miejsce, co wczoraj.

Tym razem zdobyłem się na odwagę i położyłem się do łóżka.

Głowa, która poprzedniego dnia śledziła wszystkie me poruszenia, pochyliła się teraz nademną.

Oczy, które wczoraj ani na chwilę nie odrywały się odemnie, były teraz utwione w moich oczach.

Pojmujesz chyba, jaką noc spędziłem! Ach, drogi doktorze, już dwadzieścia takich nocy przecierpiałem! Teraz wiesz, co mi jest; czy wobec tego podejmiesz się wyleczyć mnie?

— Spróbuję, — odrzekł doktor.

— Ale jak? powiedz.

— Jestem pewien, iż widmo ukazujące ci się, istnieje tyłko w twojej wyobraźni.

— Co mi z tego, czy istnieje, lub nie, skoro je ciągle widzę?

— Czy chcesz, abym i ja spróbował je zobaczyć?

— Proszę cię o to!

— Kiedy?

— Możliwie najprędzej — jutro.

— Dobrze, jutro! Zatem do jutra odwagi.

Chory uśmiechnął się smutno.

Na drugi dzień o siódmej rano doktor wszedł do pokoju przyjaciela.

— Jakże tam ze szkieletem? — zapytał.

— Dopiero co zniknął, — odparł sędzia słabym głosem.

— No, więc urządzimy się tak, by dziś wieczór nie powrócił!

— Uczynić to!

— A więc, powiadasz, że zjawia ci się zawsze o szóstej?

— Punktualnie.

— Zatrzymajmy zegar!

I doktor zatrzymał wahadło.

— Co chcesz uczynić?

— Chcę ci uniemożliwić rozpoznanie godziny.

— Dobrze.

— Teraz spuścimy żaluzje i zasłonimy okna kotarami.

— POCO?

— Zawsze w tym samym celu, byś sobie nie mógł zdać sprawy, jaka jest pora dnia i jak czas upływa.

— Dobrze.

Zamknięto okiennice, zasłonięto kotary i zapalono świece.

— Janie! — zawołał doktor, — przygotujcie

śniadanie i obiad, tylko nie podajcie ich o zwykłej porze, lecz wtedy gdy powiem.

— Czy słyszysz, Janie? — rzekł chory.

— Tak, proszę pana!

— Teraz przynieś nam karty, kości, domino i zostaw nas samych.

Jan przyniósł pożądane przedmioty i oddalił się.

Doktor bawił pacjenta, rozmawiając, opowiadając i grając z nim. Gdy poczuł głód, zadzwonił.

Jan, wiedząc już o co chodzi, wniósł śniadanie.

Po śniadaniu zaczęła się ta sama rozrywka, poczem doktor zadzwonił powtórnie.

Jan przyniósł obiad.

Jedli, pili wino i kawę i znowu grali. Dzień, spędzany tak we dwójkę, dłużył się nadmiernie. Doktor, który obliczał czas dokładnie, uznał, że złowróżbna godzina już minęła.

Powstał tedy i rzekł:

— Victoria!

— Dlaczego victoria? — zapytał chory.

Tak, bo już jest chyba ósma lub dziewiąta, a kościotrupa niema!

— Popatrz, doktorze, na swój zegarek, jako jedyny w całym domu, który chodzi, a jeśli godzina minęła, to i ja doprawdy zawołam „victoria!“.

Doktor spojrział na zegarek, nic się jednak nie odezwał.

— Pomyliłeś się doktorze, nieprawdaż? — rzekł chory, — teraz jest punkt szósta!

— Tak, i cóż z tego?

— Cóż? szkielec właśnie wchodzi!

I z ciężkiem westchnieniem opadł na fotel.

Doktor zaczął oglądać się na wszystkie strony.

— Gdzież go widzisz? — zapytał.

— Na zwykłym miejscu, pomiędzy kotarami a ścianą.

Doktor powstał, odsunął łóżko, wszedł w prze-

strzeń między kotarami, a ścianą i stanął na miejscu, na którym miał się rzekomo znajdować szkielet.

— A teraz, — rzekł — czy widzisz go jeszcze?

— Nie widzę już jego dolnej części, bo mi ją zasłaniasz, lecz widzę czaszkę!

— Gdzie?

— Nad twojem prawem ramieniem. Zdaje się, jakobyś miał dwie głowy, jedną żywą i jedną trupią.

Doktór, jakkolwiek cynik, zadrżał.

Obejrzał się, lecz nie zobaczył nic.

— Mój przyjacielu, — rzekł smutnie do chorego, — jeśli masz zamiar sporządzić testament, to uczyni to!

I poszedł.

W dziewięć dni potem Jan, wszedłszy do pokoju, zastał swego pana, w łóżku bez życia.

Śmierć nastąpiła punktualnie o szóstej w trzy miesiące po straceniu bandyty.

IX.

Groby w Saint-Denis.

— I jakież wnioski z tego, doktorze? — zapytał pan Ledru.

— Rozumiem przez to, że organy, przesyłające mózgowi odebrane spostrzeżenia, pod działaniem pewnych wpływów mogą ulec zamąceniu, tak, że się te spostrzeżenia w umyśle fałszywie odzwierciadlają — ¶ wówczas widzi się przedmioty i słyszy głosy, które nie istnieją. Oto wszystko!

— A jednak, — wtrącił kawaler Lenoir z pokorą uczonego dobrej wiary, — jednak zdarzają się pewne rzeczy, pozostawiające ślad, pewne przepowiednie, które się spełniają. Jakże to wytłoma-

czysz, doktorze? Jak wyjaśnisz, że uderzenia, zadane ręką duchów pozostawiły sińce na ciele uderzonych? Że widmo mogło przepowiedzieć pewne zdarzenia przyszłości na 10, 20, 30 lat zgora? Czy to, co nie istnieje, może uśmiercić coś istniejącego lub przepowiedzieć to, co ma się spełnić?

— Ach! — rzekł doktor, — masz pan zapewne na myśli wizję króla szwedzkiego?

— Nie, mam na myśli zdarzenie, którego sam byłem świadkiem.

— Pan?

— Tak.

— Gdzie?

— W Saint-Denis.

— Kiedy?

— W roku 1794 przy znieważeniu grobów.

— Ach, tak, posłuchaj tego, doktorze!

— No i cóż pan widział? Proszę mówić!

— A więc, w r. 1793 zostałem mianowany dyrektorem muzeum pomników francuskich i w tym charakterze byłem obecny przy ekshumacji zwłok w opactwie Saint-Denis, które zapamiętali patrioci ochrztili mianem Francjady. Teraz, po upływie lat czterdziestu, mogę wam opowiedzieć osobliwe wypadki, towarzyszące tej profanacji.

Nienawiść ludu przeciw Ludwikowi XVI przeszła na jego poprzedników królewskich. Chciano wytepić nawet zaczątki monarchji, monarchów przesładować aż do grobów i popioły sześćdziesięciu królów rozsypać na cztery wiatry.

Do tego dołączyła się ciekawość, chęć przekonania się, czy wielkie skarby, które rzekomo miały się znajdować w niektórych grobach, pozostały nietknięte.

Miejscem operacji było Saint-Denis.

Od 6 do 8 sierpnia zrujnowano 51 grobowców

historję 12 wieków! Wówczas rząd zdecydował się dla utrzymania ładu sam przetrząsnąć groby i zabrać spadek po monarchji, uśmierconej w osobie jej ostatniego przedstawiciela, Ludwika XVI.

Trzeba było zatrzeć imię, wspomnienie i prochy królów, trzeba było zniszczyć historję czterestu wieków monarchji.

Naiwni! Nie wiedzieli, że ludzie mogą czasem zmienić przyszłość, lecz przeszłości — nigdy.

Wykopano na cmentarzu wielki wspólny dół, — jak dla biedaków. W ten dół miano rzucić — na pokład wapna — kości tych, którzy, poczawszy od Dagoberta, skończywszy na Ludwiku XV, postavili Francję na czele narodów.

Powierzono mi nadzór nad ekshumacją; w ten sposób mogłem uratować wiele cennych zabytków.

W niedzielę, 12 października, gdy zaczął się proces królowej, — kazałem otworzyć kryptę Burbonów od strony podziemnych kaplic i zacząłem robotę od wydobywania trumny Henryka IV, który mając lat 57, został skrytobójczo zamordowany 14 maja 1610 r.

Ciało jego doskonale się zakonserwowało; rysy twarzy, zupełnie wyraźne, były te same, które zachowały się w sercach ludu i w obrazie Rubensa. Gdy go ujrzano wydobytego z grobu i otulonego w płótno, również doskonale zakonserwowane, zapanało tak wielkie wzruszenie, iż mało brakowało, a sklepienia kościoła usłyszałyby ów tak popularny we Francji okrzyk: „Niech żyje Henryk IV!“

Zauważywszy te oznaki czci, a nawet miłości, — kazałem ciało postawić prosto oparte o filar chóru, tak, aby każdy mógł je widzieć.

Był ubrany, jak za życia, w kaftan czarny aksamitny z obszyciami i białemi mankietami, hiszpańskie spodnie również z czarnego aksamitu, czarne jedwabne pończochy i aksamitne trzewiki.

Jego piękne, kędzierzawe włosy tworzyły i teraz glorię dookoła głowy, a wspaniała siwa broda spływała na piersi.

Wówczas zaczęła się ciągnąć procesja bez końca, jak do grobu świętego. Kobiety przychodziły, by dotknąć rąk dobrego króla, całowały rąbek jego płaszcza, inne znów sadzały swe dzieci na jego kolanach i szeptały po cichu:

— Ach, gdyby on żył, wówczas biedny lud nie byłby tak nieszczęśliwy.

Ta procesja trwała trzy dni.

W poniedziałek popołudniu, gdy robotnicy zjedli obiad, odkopywanie rozpoczęło się na nowo.

Pierwsze ciało, które po Henryku IV, wydobyto na światło dzienne, — to były zwłoki jego syna, Ludwika XIII. Był dobrze zachowany, gdyż choć rysy zatarły się nieco, można go było rozpoznać po wąsach.

Następnie ukazał się Ludwik XIV, łatwy do poznania po wybitnych rysach, które czyniły jego oblicze pierwowzorem typu burbońskiego; był jednak zczerniał, jak atrament.

Nastąpiły po kolei szczątki Marii de Medici, drugiej żony Henryka IV, Anny Austriaczki, żony Ludwika XIII, Marii Teresy, infantki hiszpańskiej i żony Ludwika XIV, wreszcie Wielkiego Delfina.

Wszystkie te zwłoki — z wyjątkiem Delfina — były zupełnie zepsute. We wtorek 15-go prowadzono ekshumację w dalszym ciągu.

Ciało Henryka IV, stało wciąż oparte o filar, patrząc bezwładnie na znieważenie grobów swych poprzedników i następców.

We środę, w tej samej chwili, gdy na placu Rewolucji konała pod nożem gilotyny Marja Antonina, tj. o jedenastej rano, wydobyto z krypty Burbonów trumnę Ludwika XV.

Stosownie do oddawna we Francji przyjętego

ceremonjału leżał on tuż przy wejściu do krypty, czekając tu na swego następcę, który nie miał nadziei. Wzięto trumnę, wyniesiono i otworzono ją na cmentarzu przy wspólnym dole.

Zrazu, gdy ciało, starannie owinięte w płótna i powijaki, wydobyto z ołowianej trumny, wydawało się całe i dobrze zachowane; lecz gdy je uwolniono z powijaków, ukazało się w stanie najstraszniejszej zgnilizny i poczęło szerzyć tak zabójczą woń, że wszyscy uciekli... Musiano spalić parę funtów prochu, by oczyścić powietrze.

Czemprędzej wrzucono w dół szczątki bohatera Jeleniego Parku, kochanka pani Chateauroux, pani Pompadur i pani Dubarry. Złożywszy te wstrętne resztki na warstwie świeżego wapna, pokryto je również niegaszonym wapnem.

W chwili, gdy palono kadzidła sypano wapno w dół, usłyszałem nagle wielką wrzawę w kościele. Udałem się szybko na miejsce i ujrzałem jednego z robotników, wrywającego się z rak kolegów, podczas gdy kobiety groziły mu pięściami.

Nędznik ów opuścił robotę, by iść popatrzeć się na inne smutniejsze jeszcze widowisko: stracenie Marji Antoniny. Upojony krzykiem własnym i tłumów, oraz widokiem przelanej krwi, -- powrócił do Saint-Denis, podszedł do Henryka IV, i zwrócił się do niego tonem urągliwym:

— Jakim prawem tu stoisz, gdy na placu Rewolucji królom ucinają głowy?

Równocześnie lewą ręką chwycił królewskiego nieboszczyka za brodę, wyrwał ją, prawa zaś ręką wymierzył mu policzek.

Trup padł na ziemię z suchym chrzestem, niby przewrócony worek pełen kości.

W tłumie zawrzało. Znieważenie każdego innego władcy ścierpianoby, lecz obelga wyrządzona

Henrykowi IV, temu ludowemu królowi, była zniewagą dla ludu.

Niegodziwiec znalazł się w niebezpieczeństwie co widząc przybiegłem mu z pomocą.

Jednakże wyrwawszy go z rak rozwścieczonego tłumu, dałem mu uczuć ohydę czynu, którego się dopuścił.

— Proszę was, — rzekłem do robotników, — zostawcie tego nędznika. Ten, którego on znieważył, potrafi tam na górze u Boga wyjednać nań zasłużoną karę!

I odebrawszy mu brodę, wyrwaną nieboszczkowi, wypędziłem go z kościoła, zapowiedziawszy, by się nie ważył pojawić wśród zatrudnionych u mnie robotników.

Krzyki i złorzeczenia kolegów ścigały go aż na ulicę.

Obawiając się nowych zniewag dla Henryka IV, kazałem go zanieść do wspólnego dołu.

Po ukończeniu pracy robotnicy odeszli, pozostał tylko jeden strażnik. Był to dzielny człowiek, którego nająłem do czuwania w nocy, w obawie, by nie włamano się do kościoła celem popełnienia nowych profanacji lub kradzieży. Strażnik ten spał za dnia, czuwał zaś od siódmej wieczór do siódmej rano.

Noc przepędzał, naprzemian stojąc, przechadzając się dla rozgrzania członków, lub siedząc przy ogniu, roznieconym koło bramy.

Wnętrze kościoła przedstawiało obraz śmierci, i spustoszenia. Trumny były otwarte, wieka ich stały oparte o ściany; porozbijane posągi leżały w nieładzie na posadzce.

Na szczęście strażnik spoglądał na te wszystkie szczątki tak samo obojętnie, jakby patrzył na wyrąbany las lub zdeptane pole, — zajmował się tylko liczeniem godzin, wydzwanianych jednostaj-

nym głosem kościelnego zegara, jedynej rzeczy pełnej życia, jaka jeszcze pozostała w spustoszo-
nym kościele.

Gdy wybiła północ i ostatnie uderzenie zegara przebrzmiało w ciemnej nawie kościelnej, usłyszał jakiś przeraźliwy krzyk, dochodzący od strony cmentarza. Było to wołanie o pomoc, żalosne skargi i bolesne jęki. W pierwszej chwili zdumienia uzbroidł się w łopatę i poszedł ku bramie, wychodzącej na cmentarz. Brama ta stała otworem i można było wyraźnie odróżnić, że tajemnicze głosy pochodziły z grobu królów. Strażnik bał się iść dalej; zamknął bramę, pobiegł prędko do mego mieszkania i zbudził mnie.

Narazie nie chciałem wierzyć, aby hałas wy-
dobywał się z grobu królów; lecz, ponieważ mie-
szkałem tuż naprzeciw cmentarza, więc gdy stra-
żnik otworzył okno wpośród nocnej ciszy, zma-
canej jedynie powiewem jesiennego wiatru, usłysza-
łem przeciągłe jęki, nie mające zaiste nic wspólnego z wiatrem.

Wstałem i udałem się ze strażnikiem do ko-
ścioła. Wszedłszy doń i otworzywszy przedsi-
onek, usłyszeliśmy skargi i jęki o wiele wyraźniej.
Tem łatwiej można było poznać, z której strony
dochodziły, gdyż strażnik w pośpiechu bramę zam-
knął źle i ta otworzyła się znów. Jęki istotnie roz-
legały się na cmentarzu.

Zapaliliśmy dwie pochodnie i zesłiliśmy ku bra-
mie; jednakże tutaj silny przeciąg zagasił nam
światło, co powtórzyło się trzy razy. Widząc, że
tego miejsca z płonącym światłem przejść niepodo-
bna i że na cmentarzu powtórzyłoby się to samo,
kazałem zapalić latarnię. Pochodnie zgasły znowu,
lecz latarnia świeciła się. Na cmentarzu zapalili-
my znowu pochodnie, których już wiatr nie zagasił.

W miarę naszego zbliżania się, żalosne jęki

uciszały się, a gdy stanęliśmy nad brzegiem dołu, zamilkły.

Podniósłszy pochodnie, by rozjaśnić dno dołu, ujrzelśmy wśród kości na warstwie wapna i ziemi poruszający się jakiś cień. Cień ten miał kształty ludzkie.

— Kto tam? co tam robicie?—rzuciłem pytanie.

— Ach! — jęknął człowiek, — To ja! Jestem robotnikiem, co uderzył Henryka IV!

— Skąd się wzięłeś?

— Niech mnie pan stąd wyciągnie, bo umieram... Potem opowiem wszystko.

Strażnik, przyniósł drabinę, i oczekiwał na dalsze rozkazy.

Kazałem mu drabinę spuścić w dół i wezwałem robotnika, by wyszedł do góry. Zawlókł się ku drabinie, lecz, chcąc się podnieść, spostrzegł, że ma złamaną rękę i nogę.

Rzuciliśmy mu powróż z pętlą na końcu; założył sobie pętlę pod pachy.

Trzymałem koniec powroza w ręku, strażnik zeszedł w dół po drabinie i tak wspólnymi siłami udało nam się wyciągnąć żyjącego z pośród nieboszczyków.

Wydostawszy się z dołu, stracił przytomność.

Zanieśliśmy go i położyliśmy na słomie koło ogniska, poczem posłałem strażnika po chirurga. Chory dopiero podczas operacji tworzył oczy.

Po założeniu opatrunku pożegnałem chirurga i oddaliśmy strażnika. Robotnik niczego nie przagnął goręcej, jak położyć się do łóżka. Siadłem obok niego na kamieniu, naprzeciw ogniska, którego drżące płomienie oświetlały część kościoła, podczas kiedy sklepienie pozostawało w głębokim zmroku.

Teraz chory na moje pytanie odpowiedział, co następuje:

I
I
d

Wydalenie z roboty wcale go nie zaniepokoiło. Miał pieniądze w kieszeni, a dotychczas przekonywał się zawsze, że mając pieniądze, nie cierpi się żadnych braków.

To też przedewszystkiem poszedł do szynku.

Tutaj kazał sobie podać butelkę. Gdy pił trzecią szklanekę, wszedł gospodarz, mówiąc:

— Czy już skończyłeś?

— Albo co? — zapytał robotnik.

— Bo słyszałem, że to ty wymierzyłeś policzek Henrykowi IV?

— No tak, to ja, i cóż z tego?

— Cóż z tego? to, że takiemu zbrodniarzowi nic nie dam do picia, by na dom swój nie ściągnąć przekleństwa!

— Twój dom? hm — twój dom jest domem dla wszystkich.—kto zapłaci, ten czuje się, jak w domu!

— Tak, ale ty nie zapłacisz, ty!... —

— Dlaczego nie?

— Bo nie chcę twoich pieniędzy! Nie płacąc, nie jesteś u siebie, lecz u mnie, a ponieważ jesteś w moim domu, więc mam prawo wyrzucić cię za drzwi!

— Tak, jeżeli jesteś silniejszy!

— Choćbym i nie był silniejszy, to zawołam tu swoich chłopaków!

— No więc, zawołaj ich! Jazda!

Szynkarz krzyknął; weszło trzech parobków, już zamówionych, z kijami w ręku; widząc to robotnik, chociaż pierwaj chciał stawić opór, musiał uciekać, nie mówiąc ani słowa.

Wyszedłszy, błąkał się jakiś czas po mieście; na obiad poszedł do pewnej jadłodajni robotniczej.

Zaledwie zaczął jeść zupe, weszli robotnicy powracający z pracy.

Ujrzawszy go, zatrzymali się na progu, zawołali gospodarza i oświadczyli, że jeśli ten człowiek

chce się tu stołować, to oni wszyscy bez wyjątku omijają będą tę jadłodajnię.

Gospodarz spytał, co ten człowiek zrobił złego, że spotyka go taka ogólna pogarda.

Odpowiedziano mu, że uderzył w twarz Henryka IV.

Wówczas oberżysta przystąpił do niego, mówiąc:

— Precz stąd! i niech to, coś zjadł, zamieni się w tobie w truciznę!

I tu, podobnie jak przedtem w szynku, nie było co myśleć o oporze. Wyklęty powstał, pogroził pięścią kolegom, którzy rozstąpili się przed nim, nie ze strachu, lecz z odrazy.

Wypadł z izby wściekły i część wieczoru błąkał się po ulicach Saint-Denis, przeklinając i bluźniąc. Około dziesiątej udał się do swojego mieszkania.

Brama, wbrew zwyczajowi, była już zamknięta. Zapukał.

Gospodarz ukazał się w oknie. Ponieważ była już ciemna noc, nie mógł poznać pukającego, zapytał więc:

— Kto tam?

Robotnik wymienił swoje nazwisko.

— Aha! — zawołał gospodarz — to ty jesteś ten, co uderzył w twarz Henryka IV? Poczekaj!

— Dlaczego mam czekać?

Wtem u stóp jego upadł wezełek.

— Co to jest? — zagadnął robotnik.

— To wszystkie twoje rzeczy.

— Jakto? moje rzeczy?

— Tak, możesz sobie spać, gdzie ci się podoba, bo ja nie chcę, by mi się dom zawalił nad głową!

Robotnik ze złości pochwycił kamień i rzucił nim w bramę.

— Czekajno! — zawołał gospodarz, — zbudzę swoich towarzyszy, to popamiętasz!

Robotnik czując, że go nic dobrego z tej strony nie czeka, cofnął się, a napotkawszy nieopodał otwarte drzwi, wsunął się do jakiejś szopy, położył się na słomie i zasnął.

Nagle poczuł, że ktoś dotknął jego ramienia.

Zewawszy się, ujrzał przed sobą postać niewieścią w bieli. Postać skinęła, by szedł za nią.

Pomyślał, że to jedna z tych nieszczęśliwych, które ofiarowują łoże i rozkosz każdemu, kto je zapłacić może, mając zaś pieniądze wolał spędzić noc pod dachem i w łóżku, niż w szopie, na słomie; wstał tedy i udał się za nią.

Nieznamorna szła z początku po lewej stronie ulicy Głównej, następnie skrzyła w wąską uliczkę i skinęła na robotnika, by szedł za nią.

Ten, przyzwyczajony do nocnych włóczęg, znał już z doświadczenia wszystkie zaułki, zamieszkiwane przez dziewice z półświatka, to też bez namysłu podążył w jej ślady.

Uliczka wychodziła na pola. Pomyślał sobie, że widocznie ta dziewczyna mieszka w jakimś ustronnym domku i szedł dalej.

Uszedłszy ze sto kroków, przebyli wyłom w jakimś murze. Dopiero teraz podniósłszy oczy, spostrzegł przed sobą stare opactwo Saint-Denis z olbrzymią dzwonnica i wysokimi oknami, rozświetlonemi przez palący się wewnątrz ogień, przy którym czuwał strażnik.

Obejrzał się za kobietą: nie było jej — zniknęła.

Znajdował się na cmentarzu.

Chciał powrócić przez wyłom w murze.

Lecz w wyłomie jakieś ramię groźnie wyciągnęło się ku niemu i wydało mu się, że widzi ducha Henryka IV.

Duch postąpił krok naprzód, robotnik cofnął się krokiem wstecz, przy czwartym lub piątym kroku stracił grunt pod nogami i runął tyłem w głąb jamy.

Wówczas ujrzał, że wszyscy królowie, poprzednicy i następcy Henryka IV powstali; wydało mu się, że jedni wyciągnęli ku niemu swe berła, drudzy ramiona, wołając: „Biada bezecnikowi!” — Pod dotknięciem tych rąk i berel uczył w sobie ciężkość jakby ołowiu i żar płomienia — i jakoby jeden członek po drugim łamał się w nim.

W tej chwili wybiła północ i strażnik usłyszał jęki.

Robiłem, co tylko mogłem, by uspokoić tego nieszcześliwego, lecz jego mózg uległ wstrząśnieniu i po trzydniowem majaczeniu skonał, wołając: „Łaski!”.

Historja, którą opowiedziałem, prowadzi do przepowiedni, będącej dotąd tajemnicą.

— Około 20 stycznia 1794 po przetrząśnięciu grobowca Franciszka I., otworzono grób hrabiny Flandrii, córki Filipa Drugiego.

Były to ostatnie dwa groby, pozostałe jeszcze do przeszukania, gdyż wszystkie inne grobowce już przetrząśnięto, zawartość wypróżniono, kości złożono w trupiarni.

Jeden z ostatnich grobów był niewiadomo czyj. Był to, zdaje się, grobowiec kardynała de Retz, który podobno miał być pochowany w Saint-Denis.

Zamknięto z powrotem wszystkie groby, tak kryptę Walezjuszów jak i kryptę Karolingów.

Pozostała jeszcze do zamknięcia krypta Burbonów, co miano uskutecznić na drugi dzień.

Stróż przepędził ostatnią noc w tym kościele, gdzie już nie było czego pilnować. Pozwolono mu tedy spać i poczciwiec nie omieszkał skorzystać z tego pozwolenia.

O północy zbudził go głos organów i śpiewy kościelne.

Ku swemu zdumieniu ujrzał stalle wypełnione zakonnikami opactwa St. Denis; ujrzał arcybiskupa, odprawiającego mszę przy ołtarzu; kaplica była rzęście oświetlona, ściany pokryte złoto-haftowanym kirem, który zwykle osłaniał zwłoki królewskie. Stojący pośrodku katafalk, okryty był całunem.

W chwili, gdy się stróż ocknął, msza żałobna dobiegła końca i rozpoczął się ceremonjał pogrzebu.

Koronę, berło i jabłko, złożone na czerwonej, aksamitnej poduszce, wręczono heroldom, a ci podali je trzem książętom. Wystąpili teraz naprzód parowie, idąc krokami cichemi, jak duchy, wzięli trumnę na ramiona i znieśli ją do krypty Burbonów, która jeszcze stała otworem, podczas gdy inne były już zamknięte.

Teraz zeszedł za nimi główny herold, wezwawszy innych heroldów, by czynili swoją powinność.

Potem wezwał trzech książąt, niosących insygnia władzy królewskiej, — wreszcie zawołał głośno po trzykroć:

- Król umarł, niech żyje król!
- Król umarł, niech żyje król!
- Król umarł, niech żyje król!

Drugi herold, stojąc w stallach, powtórzył trzykrotnie ten okrzyk.

Nareszcie Wielki mistrz złamał laskę na znak, że dom królewski przestał istnieć, i że oficerowie królewscy obejmują dalsze funkcje.

Natychmiast zabrzmiały trąby i odezwał się głos organów.

Lecz trąby brzmiały coraz ciszej i ciszej, głos organów jęczał coraz bardziej stłumiony, światła świec poblądły, uczestnicy ceremonji poczęli się roz-

praszać, aż wreszcie przy trzeciej fanfarze trać wszystko zniknęło.

Następnego dnia stróż ze łzami w oczach opowiedział to widzenie pogrzebu królewskiego, którego biedak był jedynym świadkiem. Przepowiedział wówczas, że spustoszone groby zostaną odrestaurowane, a pomimo dekretów konwentu i noża gilotyny, Francja ujrzy znowu monarchję, a Saint-Denis nowych królów.

Ta przepowiednia omal nie naraziła nieboraka na więzienie i gilotynę. Powiedział mi to w trzydzieści lat później, a mianowicie 20 września 1824, stojąc za tym samym filarem, pod którym wówczas miał widzenie, pociągnął mię za połę surduta i rzekł:

— A co! Nie miałem racji, że nasi królowie powrócą do Saint-Denis?

Istotnie owego dnia pogrzebano Ludwika XVIII wśród tego samego ceremoniału, którego świadkiem był stróż przed trzydziestu laty.

Jak to wytłumaczysz, doktorze!

X.

L'Artifaille.

Doktór jednak milczał.

Milczenie to dało wolne pole komentarzom; pierwszy odezwał się ksiądz Moulle:

— Wszystko to utwierdza mię w mojej teorii!

— A jaka jest pańska teoria? — zapytał doktor, pragnąc podjąć dysputę z mniej niebezpiecznymi przeciwnikami, niż kawaler Lenoir.

— Żyjemy wśród dwu niewidzialnych światów, z których jeden pełen jest istot niebiańskich, drugi — szatańskich. W chwili urodzenia przy boku naszym

stają dwa geniusze: dobry i zły; geniusze te towarzyszą nam przez całe życie, jeden podszeptując rzeczy dobre, drugi złe, a w godzinę śmierci ten z nich włada nami, który tryumfuje, wskutek tego ciało nasze staje się łupem złego ducha, lub pozostaje w rękach anioła. W historii biednej Solange tryumfował dobry duch, on to, mój Ledru, przez nieme usta młodej męczennicy przesłał ci słowa pożegnania. W zdarzeniu z bandyta, skazanym przez sędziego szkockiego, wyszedł zwycięzcą zły duch, który ukazał się sędziemu najprzód w postaci kota, potem odźwiernego, a na końcu kościotrupa. W ostatnim wreszcie wypadku był to anioł monarchji, który pomścił haniebnę zbezczeszczenie grobów. I jak Chrystus ukazywał się ludziom małuczkim i pokornego ducha, tak samo pokazał przysłałą restaurację królestwa biednemu stróżowi.

— A jednak, księżo, — odparł doktor — każda teoria opiera się na przekonaniu.

— Naturalnie.

— Przekonanie zaś musi polegać na fakcie.

— Moje polega na nim.

— Na fakcie, opowiedzianym przez kogoś, komu pan uwierzyłeś?

— Nie, na fakcie, który się przytrafił mnie samemu!

— Ach, księżo! proszę nam to opowiedzieć!

— Z chęcią. Po odbyciu studjów seminaryjnych otrzymałem święcenie i zostałem wyznaczony, jako wikary do Etampes. Kościół stał się moim przybytkiem, w nim żyłem, rozmyślałem i modliłem się. Mała plebania, oddana do mego użytku, nie była niczem więcej, jak tylko najętym domem, w którym jadłem i spałem.

Gwar świata nie dolatywał do mnie, gdyż zamknąłem się w tem sanktuarjum wiary i poezji.

Jeden jednakże szczegół zajmował podówczas

wszystkich, małych i wielkich, biednych i bogatych. W okolicach Etampes grasował pewien bandyta nazwiskiem l'Artifaille.

Czynami tego opryszka zainteresowałem się tembardziej, że żona jego, mieszkająca na końcu Etampes, była jedną z najgorliwszych parafianek. Pobożna ta i zacna kobieta, dręczona wyrzutami sumienia z powodu zbrodni męża, za którego odpowiedzialność przed Bogiem ponosiła jako żona, spędzała życie na modlitwach i pokucie, spodziewając się, iż te dobre uczynki częściowo zgładzą winę jej męża.

Ten mąż, to był bandyta, wyzuty z poczucia wiary i ludzkości.

Ze dwadzieścia razy ujęto go i wtrącono do więzienia, lecz zawsze na drugi lub trzeci dzień cela była pusta. Nie umiano sobie wytłomaczyć tego znikania, rozeszła się więc pogłoska, iż bandyta znalazł ziele, które przecina żelazo.

Wytworzyła się pewnego rodzaju legenda koło osoby tego człowieka.

Co do mnie, to wyznaję, że myślałem często o nim, zwłaszcza, że jego żona, spowiadając się przedemna, opowiadała mi o łotrostwach męża i prosiła o radę.

Oczywiście radziłem, by użyła całego wpływu na męża, aby go nawrócić na dobrą drogę. Jednakże wpływ biednej kobiety był za słaby; pozostała jej jedyna nadzieja w modlitwie, by znaleźć łaskę u Pana.

Zbliżała się Wielkanoc. W Wielki Czwartek spowiadałem dużo osób, to też około godziny ósmej wieczorem byłem tak zmęczony, iż zasnąłem w konfesjonale.

Zakrystjan widział to, lecz ~~znając~~znając moje nawyk-nienie i wiedząc, że mam przy sobie klucz od bocznych drzwi kościoła, nie próbował mnie budzić, gdyż już nieraz zdarzało mi się w ten sposób zasypiać.

Nagle przez sen usłyszałem zagadkowy szmer. Zbudziłem się i chciałem wyjść z konfesjonału, gdy wtem przy blasku księżyca wydało mi się, że widzę jakiegoś człowieka, przechodzącego mimo.

Człowiek ów stał ostrożnie, za każdym krokiem oglądając się. Oczywiście nie mógł to być ministrant, zakrystjan, organista ani nikt należący do kościoła, lecz jakiś włamywacz.

Nocny gość zbliżał się do ołtarza. Tutaj stanął; usłyszałem uderzenie żelaza o krzemień, ujrzałem iskry i wkrótce hubka zajęła się. Intruz zapalił od płomienia świecę woskową, stojącą na ołtarzu.

W blasku świecy ujrzałem mężczyznę średniego wzrostu, uzbrojonego w dwa pistolety i nóż, tkwiący za pasem. Oblicze jego było raczej łagodne, niż groźne. Rozglądał się uważnie w przestrzeni, oświetlonej świecą i zdaje się był zadowolony z rezultatu tego badania.

Wy dobył z kieszeni pęk wytrychów. Zapomocą jednego z tych narzędzi otworzył tabernaculum, wyjął zeń święte cyborjum, wspaniały srebrny kielich, cyzelowany za Henryka II, następnie masywną monstrację, podarowaną miastu przez królową Marię Antonine, wreszcie dwie pozłacane ampułki.

Po opróżnieniu, tabernaculum zamknął starannie napowrót i przykleknął, by otworzyć dolny schowek ołtarza, w którym znajdował się obraz Matki Boskiej z koroną ze złota i djamentów na głowie i sukienką pokrytą klejnotami.

Po upływie pięciu minut złodziej, — nie próbując stłuc szklanych szyb schowka, co ułatwiłoby mu robotę, otworzył schowek wytrychem, i zabrał się do zdzierania sukienki i korony, by je złożyć obok monstracji, cyborjum i ampułek; nie chcąc dopuścić do takiego świętokradztwa, wyszedłem z konfesjonału i zbliżyłem się ku ołtarzowi.

Usłyszawszy hałas, jaki sprawiło przymknięcie drzwiczek konfesjonau, złodziej odwrócił się. Pochylony w moją stronę usiłował przeniknąć wzrokiem ciemności; konfesjonał znajdował się jednak poza obreębem światła, to też rabuś ujrzał mię dopiero wtedy, gdy wszedłem w krąg rozjaśniony blaskiem świecy.

Złodziej spostrzegłszy człowieka, oparł się o ołtarz, dobył pistoletu i skierował go ku mnie.

Wkrótce poznał zdaje się po czarnym ubiorze, że jestem prostym, nieszkodliwym księdzem, który nie posiada żadnej tarczy, prócz wiary, żadnej broni, prócz słów.

Nie bacząc na grożący mi pistolet, podszedłem aż do stopni ołtarza. Czulem, że jeśli wystrzeli do mnie, to albo pistolet odmówi posłuszeństwa albo kula chybi. Trzymałem rękę na medaliku, który od dzieciństwa nosiłem na szyi, i czulem się zupełnie bezpieczny pod tarczą i opieką Najświętszej Panny.

Ten spokój biednego wikariusza wywarł widocznie wrażenie na bandycie.

— Czego chcesz? — zawołał, usiłując głosowi swemu nadać brzmienie stanowczości.

— Ty jesteś l'Artifaille? — zapytałem.

— Do kroćset! — odparł, — któż inny, jak nie ja, śmiały w nocy sam jeden wedrzeć się do kościoła?

— Biedny, zatwardziały grzeszniku! I ty jeszcze pysznisz się swoją zbrodnią? Czyż nie pojmujesz, że w tej niebezpiecznej grze grozi niebezpieczeństwo twemu ciału i duszy?

— Ba! — odparł, co do mego ciała, to już nieraz je wyratowałem i myślę, że i tym razem je wyratuję, co zaś do mojej duszy...

— I cóż, co do twej duszy?

— To ta obchodzi mą żonę: ona jest pobożna za nas oboje, to i moją duszę uratuje wraz ze swoją.

— Masz rację; twoja żona, mój przyjacielu, jest to bogobojna niewiasta, któraby z pewnością umarła ze zgryzoty, gdyby wiedziała, jaką zbrodnię zamierzałeś teraz popełnić!

— Ho, ho! Myślisz księże, że moja żona umarłaby ze zgryzoty? — zaśmiał się bandyta, i wyciągnął ręce po święte naczynia.

— Z pewnością!

— A ja bym tak chciał zostać wdowcem!

Wstąpiłem po trzech stopniach na podjum ołtarza i zatrzymałem jego ramię, mówiąc:

— Nie! Nie popełnisz świętokradztwa!

— I któż mi przeszkodzi?

— Ja!

— Siłą?

— Nie, lecz perswazją. Bóg zesłał sługi swe na ziemię nie poto, aby używali siły, bo to jest broń ludzka, lecz perswazji, która jest cnotą niebiańską. Mój przyjacielu, tu nie chodzi o kościół, który sobie może sprawić inne naczynia, lecz o ciebie, gdyż nie mógłbyś potem zmazać tego grzechu. Przyjacielu, ty nie popełnisz tej zbrodni!

— Czy być może? Myślisz, cnotliwa osobo, że to moja pierwsza zbrodnia?

— Nie, wiem, że to dziesiąta, dwudziesta, trzydziesta może, lecz to mnie nie obchodzi. Aż dotąd oczy twe były zamknięte, oczy twe otworzą się dziś wieczór, to wszystko. Czy nie słyszałeś może o mężu zwanym Saul, który pilnował szat ludzi, kamienujących św. Szczepana? A więc mąż ów wedle własnych słów, miał oczy pokryte łuskami; pewnego dnia łuski te spadły mu z oczu i przejrzał. Był to św. Paweł.

— Powiedźcie mi tylko księżę, czy św. Pawła
ścięto?

— Tak.

— Ile lat miał św. Paweł, gdy przejrzał?

— Trzydzieści pięć.

— Ja mam już więcej, bo czterdzieści!

— Zawsze jest czas na skruchę. Jezus powiedział
do łotra po lewicy: „Rzeknij słowo skruchy, a zbawię
cię!”

— Do licha! Ależ ci to zależy na tem srebrze! —
rzekł bandyta, zerkając na mnie.

— Nie, zależy mi na twej duszy, którą chcę ura-
tować.

— Na mojej duszy? Chcesz, bym w to uwierzył?
Wolne żarty!

— Czy mam ci to udowodnić, że mi zależy na
zbawieniu twej duszy?

— Tak, udowodnij to, a sprawisz mi przyjem-
ność.

— Jak wysoko cenisz wartość łupu, który za-
mierzałeś zabrać tej nocy?

— Ho, ho! — zawołał bandyta, rzucając zado-
wolone spojrzenie na naczynia, — to warte tysiąc ta-
larków.

— Tysiąc talarów?

— Wiem dobrze, że to warte dwa razy tyle, lecz
muszę przynajmniej dwie trzecie zysku stracić przy
tym interesie; te przekłete żydy to straszne zło-
dzieje!

— Chodź do mnie!

— Do ciebie?

— Tak, do mnie na plebanię. Mam tam tysiąc
franków, dam ci je jako zadatek.

— A reszta, dwa tysiące?

— Co do reszty, to obiecuję ci na moje słowo ka-
płańskie, że udam się do rodzimej wsi, — moja matka

ma tam posiadłość, — sprzedam dwa lub trzy morgi gruntu, a uzyskawszy w ten sposób dwa tysiące dam tobie.

— Tak, by mi wyznaczyć spotkanie i zwabić mnie w zasadzkę?

— Sam chyba nie wierzysz w to, co mówisz! — odparłem, wyciągając dłoń ku niemu.

— To prawda, sam w to nie wierzę, — odparł z ponurą miną. — A więc twoja matka jest bogata?

— Moja matka jest biedna.

— W takim razie zrujnujesz ją?

— Skoro jej powiem, że w ten sposób uratuję może jedną duszę, to pobłogosławi mię, choćby miała zupełnie zubożeć. Zresztą, gdyby jej już nie starczyło środków do życia, to ja ją wezmę do siebie, a moja pensja wystarczy na nas dwoje.

— Przyjmuję! — rzekł, — chodźmy do twego mieszkania.

— Dobrze, lecz wprzód...

— Co takiego?

— Schowaj te rzeczy, któreś wyjął, napowrót w tabernaculum i zamknij je kluczem, to klucz ten przyniesie ci szczęście.

Bandyta ściągnął brwi, jak człowiek, który mimowoli ulega potędze wiary, poczem złożył święte naczynia w tabernaculum, zamknął je i rzekł:

— Chodź!

— Zrób naprzód znak Krzyża Świętego! — rzekłem doń.

Próbował roześmiać się szyderczo, lecz śmiech zamarł mu na ustach.

Przeżegnał się.

— A teraz chodź ze mną! — rzekłem.

Wyszliśmy małą boczną furtką. W niespełna pięć minut byliśmy na plebanji.

Przez całą tę krótką drogę bandyta okazywał

niepokój, oglądał się na wszystkie strony, widocznie obawiając się, że chce go wciągnąć w zasadzkę.

Przybywszy na miejsce, zatrzymał się we drzwiach.

— No więc, tysiąc franków! — rzekł.

— Czeka! — odparłem.

Zapaliwszy świecę, otworzyłem szafę, wyjąłem z niej worek i podałem mu go, mówiąc:

— Oto one.

— A kiedy otrzymam resztę?

— Proszę cię o sześć tygodni zwłoki.

— Dobrze.

— Komu mam doreczyć pieniądze?

Bandyta pomyślał chwilę, wreszcie rzekł:

— Mojej żonie.

— Dobrze.

— Lecz ona nie powinna wiedzieć, skąd je dostanę, ani w jaki sposób je zarobiłem.

— Nie dowie się o tem ani ona, ani nikt inny. Zato jednak nie popelnisz nigdy włamania w kościele N. P. Marji w Etampes ani w żadnym innym, czci Matki Boskiej poświęconym przybytku!

— Nigdy!

— Dajesz na to słowo?

— Jakem l'Artifaille!

— Idź więc, bracie mój — i nie grzesz więcej! Pożegnałem go skinieniem ręki. Chwilę ociągał się, potem ostrożnie zamknął drzwi i zniknął. Padłem na kolana i modliłem się za duszę tego człowieka. Jeszcze nie skończyłem modlitwy, gdy zapukano do drzwi.

— Proszę! — zawołałem, nie odwracając głowy. Wchodzący, ujrawszy mnie klęczącego, zatrzymał się i stał za mną.

Skończywszy modlitwę, odwróciłem się i ujrza-

łem l'Artifaille'a, stojącego nieruchomo koło drzwi z workiem pod pachą.

— Oto, — rzekł — przynoszę ci z powrotem twoje tysiąc franków!

— Moje tysiąc franków?

— Tak i daruję ci pozostałe dwa tysiące.

— Ale przyrzeczenia swego nie zmienisz?

— No chyba!

— Okazujesz więc poprawę?

— Nie wiem.

Położył worek na skrzyni.

Potem zrobił minę, jakby chciał o coś poprosić, lecz widać było, że ciężko mu wymówić słowa prośby.

— Czego chcesz? — zagadnałem. — Mów przyjacielu! Uczyniłeś teraz rzecz dobrą. Nie wstydz się tedy, jeśli chcesz uczynić coś jeszcze lepszego.

— Czy bardzo kochasz Matkę Boską? — zapytał.

— Bardzo.

— I czy sądzisz, że za jej wstawieniem się człowiek, chociażby wielki grzesznik, może doznać zbawienia w godzinę śmierci? A więc, zamiast twoich trzech tysięcy franków, które ci daruję, daj mi jaką relikwię, różaniec lub szkaplerz, abym go mógł ucałować w godzinę śmierci.

Zdjąłem medalik na złotym łańcuszku, który mi matka w dniu urodzin zawiesiła na szyi, a z którym się nigdy nie rozłączałem — i dałem go świętokradcy.

Bandyta przycisnął wargi do medalika i wybiegł szybko.

— Rok upłynął, podczas którego nie słyszałem nic o l'Artifaille'u, zdaje się opuścił Etampes, by gdzieindziej uprawiać swe rzemiosło.

Tymczasem otrzymałem list od kolegi, wikarjusza z Fleury. Moja droga matka była ciężko chora

i wzywała mnie do siebie. Wziąwszy urlop, pojechałem do Fleury.

Półtora lub dwa miesiące starannej pielęgnacji i modlitw przywróciły matce zdrowie. Rozstaliśmy się więc i powróciłem do Etampes.

Przybyłem w piątek; całe miasto było żywo poruszone. Osławiony złoczyńca l'Artifaille został ujęty koło Orleans i skazany na śmierć przez sąd tego miasta. Po wyroku posłano go do Etampes, jako głównej widowni jego zbrodniczych czynów — celem wykonania wyroku.

Egzekucja odbyła się tegoż samego dnia rano.

Tyle usłyszałem po drodze. Przybywszy na plebanie dowiedziałem się, że jakaś kobieta z przedmieścia przychodziła ciągle od przedwczoraj rano (tj. od chwili przybycia l'Artifaille'a do Etampes) i z dziesięć razy pytała, kiedy przyjadę.

Okoliczność ta nie zapowiadała nic nadzwyczajnego.

Na przedmieściu znałem tylko ową biedną kobietę, która miała wnet owdowieć. Postanowiłem wybrać się do niej, nie oczyściwszy się nawet z pyłu podróży.

Droga z plebanji na przedmieście nie była daleka. Biła już wprawdzie godzina 10 wieczór, lecz pomyślałem sobie, że jeśli biedaczka tak natarczywie dowiadywała się o mnie, to musi mieć coś ważnego do powiedzenia.

Doszedłszy więc na miejsce, kazałem się zaprowadzić do jej mieszkania.

Ponieważ znano ją powszechnie, jako kobietę bogobojną i pobożną, przeto nikt nie brał jej za złe występków i hańby męża.

Przybyłem pod bramę jej domku. Okienne były otwarte i ujrzałem nieszczęsną, klęczącą koło łóżka, pogrążoną w modlitwie.

Po drganiu ramion można było poznać, że płacze. Zapukałem do drzwi.

Powstała szybko i otworzyła mi.

— Ach, księże dobrodziej! — zawołała — domyśliłam się, że to wy! Usłyszawszy pukanie, wiedziałam już, że to wielbny ksiądz! Ach! ksiądz dobrodziej przybył zapóźno: mąż mój umarł bez spowiedzi!

— A więc nie okazał skruchy przed śmiercią?

— Owszem, przeciwnie, jestem przekonana, iż w głębi serca był chrześcijaninem, lecz oświadczył, że nie chce żadnego księdza, prócz was, że tylko przed wami może się wyświadczać, przed nikim innym, — chyba przed Najświętszą Panną!

— Tak powiedział?

— Tak, i mówiąc to, całował medalik, wiszący na złotym łańcuszku na szyi, przyczem żądał, aby mu przedewszystkiem nie zabrano tego medalika, mówiąc, że jeśli go pochowają wraz z medalikiem, wówczas zły duch nie będzie miał przystępu do ciała.

— Czy to wszystkie jego słowa?

— Nie, rozstając się ze mną, by iść na stracenie, powiedział jeszcze, że ksiądz dobrodziej przyjedzie dziś wieczór i przyjdzie zaraz do mnie.

— On to wam powiedział? — zapytałem zdziwiony.

— Tak i wyraził jeszcze ostatnie życzenie.

— Jakie?

— Kiedy ksiądz przybędzie... mój Boże! nie mogę tego powtórzyć.

— Mówcie, moja droga kobieto, mówcie śmiało!

— A więc, kazał mi prosić księdza, byś udał się pod szubienicę i zmówił przy jego zwłokach pieć Ojcze nasz i pieć Zdrowaś. Księże dobrodziej! on twierdził, że ksiądz mu tego nie odmówi.

— I miał słuszość. Pójdę tam.

— O, jakże ksiądz jest dobry!

Pochwyciła me ręce, chcąc je ucałować, lecz odsunąłem ją, mówiąc:

— Czy maż wasz nie wyraził pozatem żadnego życzenia?

— Żadnego.

— Więc dobrze. Jeśli żądał spełnienia tylko tego życzenia dla spokoju duszy, to spokój ten uzyska.

I odszedłem.

Mogło być mniej więcej w pół do jedenastej. Było to pod koniec kwietnia, gdy noce bywają chłodne. Niebo przedstawiało widok piękny, gdyż księżyc płynął przez morze ciemnych chmur, które nadawały całemu krajobrazowi piętno majestatycznej wspaniałości.

Skreśliem wzdłuż starych murów miejskich i doszłem do bramy paryskiej. Była już jedenasta, i ta tylko jedyna brama stała otworem.

W pośród pisku i krzyku sów i puszczyków szedłem drogą, wijącą się wśród skał, porośniętą krzewami i zaroślami.

Nie mogę rzec, abym czuł strachi, gdyż człowiek wierzący w Boga i pokładający w Nim ufność, nie powinien bać się niczego, jednakże byłem wzruszony.

Księżyc skrył się za chmurą, srebrząc jej rąbek bladym światłem.

Serce me biło gwałtownie. Zdawało mi się, że coś ujrze — nie to, czegom się spodziewał, lecz coś niespodzianego. Szedłem naprzód.

Wchodząc zwolna pod górę mogłem dostrzedz górną część szubienicy, składającej się z trzech murowanych słupów i poprzecznej belki dębowej.

W tej belce umocowane są żelazne haki, na których wieszają się skazańców. Ujrzałem — niby ruszając się cień — ciało nieszczęśliwego l'Artifaille'a,

kołysane wiatrem. Nagle stanąłem. Szubienicę było teraz widać w całej okazałości.

Spostrzegłem jakąś bezkształtną masę, coś jakby zwierzę, pełzające na czterech łapach.

Stałem cicho, ukrywając się za skałą.

Nagle zjawisko to wyprostowało się, stając na tylnych łapach; przekonałem się teraz, że był to człowiek.

Cóż mógł robić człowiek o tak późnej porze pod szubienicą? Chyba tylko przychodził w dobrych zamiarach, by się pomodlić, lub w złych zamiarach, by popełnić jakiś czyn ohydny?

Badźcobądź postanowiłem spokojnie czekać.

W tej chwili księżyc wyłonił się z pośród ciemnych chmur i oblał jasnym światłem szubienicę.

Mogłem teraz dokładnie widzieć człowieka i obserwować jego ruchy.

Człowiek ów podniósł leżącą na ziemi drabinę i oparł ją o belkę, tuż obok zwłok wisielca.

Następnie zaczął wchodzić po drabinie.

Utworzył teraz z wisielcem jedną osobliwą grupę; jakoby żywy i nieboszczyk trzymali się w objęciu.

Naraz rozległ się przeraźliwy krzyk. Ujrzałem oba ciała gwałtownie szamoczące się, usłyszałem wołania, wzywające pomocy i to coraz bardziej stłumionym głosem, który wreszcie ucichł, potem jedno z tych ciał spadło w dół, podczas gdy drugie wisiało na stryczku, miotając rękami i nogami.

Rzuciłem się na ratunek.

Podbiegłem naprzód do wiszącego. Wyszedłem spiesznie po szczeblach drabiny i nożem przeciąłem stryczek; wisielec runął na ziemię, a ja zeskoczyłem z drabiny.

Powieszony wił się na ziemi w konwulsyjnych drgawkach; ciało drugiego leżało nieruchome.

Spostrzegłem, iż stryczek zaciśnięty na szyi dusi

biedaka, pochyliłem się więc nad nim i z trudem rozluźniłem petle.

Teraz mogłem się dobrze mu przyjrzeć i ze zdziwieniem poznałem w nim kata.

Oczy wyszły mu na wierzch, twarz była sina, szczęki prawie wykręcone, a z piersi wydobywał się słaby szmer, przypominający raczej rzezenie, niż oddech.

Zwolna powietrze zaczęło mu napływać do płuc, a z niem i życie.

Oparłem go plecami o duży kamień. Wkrótce przyszedł do przytomności, odkaslnął, odwrócił głowę i spojrzał mi w twarz.

Zdziwienie jego było nie mniejsze, niż moje.

— Och, och, to wy, księżę dobrodzieju?— wyjąkał.

— Tak, to ja.

— A co ksiądz tu robi?

— No, a co wy tu robicie?

Zebrał myśli i raz jeszcze rozejrzał się dokoła. Teraz oczy jego zatrzymały się na zwłokach.

— Ach! — westchnął, próbując powstać, — idźmy stąd, księżę, na miłość boską, oddalmy się stąd!

— Idź, mój przyjacielu, jeśli chcesz, lecz ja mam tu obowiązek do spełnienia.

— Tutaj?

— Tutaj!

— Jaki obowiązek?

— Ten nieszczęśliwy, którego powiesiliście dziś rano, żądał, żebym u stóp szubienicy zmówił za jego duszę pięć Ojcze nasz i pięć Zdrowaś.

— Za jego duszę? Och, księżę! Ciężko będzie wyratować tę duszę, bo to jest wcielony djabeł!

— Jakto, wcielony djabeł?

— No, to ksiądz nie widział, co on zrobił ze mną?

— Jakto, cóż takiego?

— Przecie powiesił mnie!

— On was powiesił? Zdaje mi się, że to raczej wy jemu wyświadczyliście tę smutną przysługę!

— Tak, istotnie, i zdawało mi się, że m go na amen powiesił. Widocznie jednak omyliłem się; dlaczego jednak nie skorzystał on z chwili, gdym dyn- dał na stryczku, by się uratować?

Podszedłem do trupa i dotknąłem go; był zimny i sztywny.

— No, dlatego, że jest martwy! — odparłem.

— Martwy! — powtórzył kat z niedowierza- niem — martwy! ach, do diabła, to kiepsko! ratujmy się, księże dobrodzieju, ratujmy się!

Powstał.

— Nie, doprawdy — rzekł — lepiej chyba zosta- nę, bo jeszcze gotów powstać i gonić za mną. Tu zaś przynajmniej ksiądz, jako duchowna osoba, obroni mnie.

— Mój przyjacielu! — rzekłem, bacznie patrząc na kata, — coś musi w tem być. Pytaliście mnie, właśnie, co tu robię, a teraz ja pytam: co wy tutaj robicie?

— Ach, doprawdy, księże dobrodzieju, muszę wam chyba wszystko wyznać, na świętej spowiedzi, albo jak!... Hm, powiem to wam kiedyindziej. Ale co to? słyszycie?

Cofnął się wstecz.

— Co takiego?

— Czy on się nie rusza?

— Nie, bądźcie spokojni, ten nieszczęśliwy istot- nie nie żyje.

— O, nie żyje — istotnie? nie żyje?! — Ale mniejsza z tem, powiem wam, dlaczego tu przysze- dłem, a jeśli skłamię, to niech on mnie skarże!..

— Mówcie!

— Muszę księdzu powiedzieć, że łotrzyk ten nie chciał ani słyszeć o wyspowiadaniu się, tylko od cza-

su do czasu pytał: „Czy ksiądz Moulle już przyjechał?“ — Odpowiadano mu: „Nie, jeszcze nie!“ — Wówczas wzdychał; zaproponowano mu innego księdza, lecz on odpowiedział: „Nie, ksiądz Moulle, albo żaden!“

— Tak, wiem o tem.

— Przechodząc koło wieży Guinette zatrzymał się i rzekł do mnie: — „Obejrzyjcie się, czy ksiądz Moulle nie przybywa?“ — Nie! — odpowiedziałem. Szliśmy dalej. U stóp drabiny zatrzymał się znowu i powtórnie spytał: — „Czy nie nadchodzi ksiądz Moulle?“ — „Ależ nie, już raz wam powiedziałem! Nie widziałem niecierpliwszego od was człowieka, ciągle powtarzacie to samo!“ — „A więc, naprzód!“ — Wyszedł, nie dając się prosić, lecz doszedłszy do dwu trzecich długości drabiny, zatrzymał się i rzekł do mnie: „Poczekajcie, przekonam się, czy nie widać księdza Moulle!“ — „No, to zobacz — rzekłem, — to nie jest zabronione!“ — Rozejrzał się po raz ostatni po tłumie, lecz nie spostrzegłszy księdza, westchnął. Myślałem, że już ma dosyć i chciałem go zepchnąć z drabiny, lecz on spostrzegł mój ruch, i rzekł: — „Zaczekaj!“ — „Cóż tam znowu?“ — „Chciałbym pocałować medalik Matki Boskiej, który mam na szyi.“ — „No, jeśli tak — odrzekłem — to ucałuj go!“ — Przycisnął medalik do ust. — „Cóż jeszcze?“ — zapytałem. — „Chcę, by mię pochowano razem z tym medalikiem!“ — Hm, hm! — odrzekłem — zdaje mi się, że cały dobytek wisielca należy do kata?“ — „To mnie nic nie obchodzi, chcę być pochowany z tym medalikiem!“ — „Chcę, chcę, jak wy to mówicie!“ — „Tak, chcę..“ — Tutaj zabrakło mi cierpliwości. Był już całkiem gotów, miał stryczek na szyi, a koniec stryczka założony był na hak. — „Idź do diabła!...“ — krzyknąłem i zepchnąłem go z drabiny. — „Najświętsza Panno, ulit — —.“ — Do

króćset! To było wszystko co mógł powiedzieć, gdyż stryczek zdusił mu jednocześnie gardło i podobne słowa. W tej chwili — ksiądz wie, jak to się robi? — skoczyłem mu na ramiona, trzymając się stryczka i odciągnąłem go. Wszystko się skończyło. Nie mógł się skarżyć na mnie, i ręczę, że nic nie ucierpiał.

— Dobrze, ale jeszcze nie powiedzieliście, pociście przyszli tej nocy?

— O, widzi ksiądz, to trudniej będzie!...

— A więc, powiem ci: przyszedłeś, by mu ukraść medalik!

— Tak, diabeł mię skusił. Powiedziałem sobie: dobrze, dobrze, chciej sobie, co chcesz, lecz niechno noc nadejdzie, to zobaczymy! — Gdy więc nastala noc, wyślizgnąłem się z domu. Pozostawiłem tu drabinę, by ją mieć pod ręką. Przechadzałem się tędy i owędy, a powróciwszy i nie widząc nikogo w pobliżu, ani nie słysząc żadnego szelestu, podszedłem do szubienicy, przystawiłem drabinę, przyciągnąłem wisielca do siebie, złapałem za łańcuszek i—

— I co?

— Doprawdy! proszę mi wierzyć: w chwili, gdy medalik opuścił jego szyję, wisielec pochwycił mnie wysunął głowę z pętli, natomiast gwałtem wepchnął tam moją głowę i — Bóg świadkiem — stracił mnie z drabiny tak samo, jak ja jego przedtem! Widzi ksiądz, tak się rzecz miała!

— To niemożliwe, mylicie się!

— No, zapewniam księdza, że chyba sam się nie powiesiłem! To wszystko, co mogę powiedzieć!

— Pomyślałem chwilę.

— A gdzie jest medalik — zapytałem.

— Do licha! poszukajcie go na ziemi, musi tu gdzieś leżeć w pobliżu. Wypuściłem go z rąk, uczuwszy, że wiszę.

Powstałem i począłem szukać po ziemi. Blask księżyca pomóg mi w poszukiwaniu.

Podniosłem medalik i włożyłem go z powrotem na szyję trupa biednego l'Artifaille'a.

W chwili, gdy medalik dotknął się jego piersi, jakby dreszcz przebiegł całe ciało, a z piersi wydobył się ostry, prawie bolesny jęk.

Kat odskoczył w tył.

Jęk ten wyjaśnił mi wszystko. Przypomniałem sobie, że Pismo Święte wspomina przy egzorcyzmach o krzyku, jaki wydaje djabeł, opuszczając ciało opętanego.

Kat trząśł się jak listek osiki.

— Chodźcie tu, przyjacielu, — rzekłem — i niczego się nie bójcie!

Zbliżył się z ociąganiem, pytając:

— Czego chcecie, książe dobrodzieju?

— Te zwłoki trzeba umieścić na dawnym miejscu!

— Nigdy! — ha, żeby mię znowu powiesił?

— Niema już niebezpieczeństwa, przyjacielu, ręczę za wszystko!

— Ależ, księżę dobrodzieju! księżę dobrodzieju!

— Chodźcie! — rzekłem.

Postąpił krok naprzód i szepnął:

— Hm, nie dowierzam mu!

— Zupełnie niesłusznie, mój przyjacielu! teraz skoro nieboszczyk ma znów na sobie medalik, niema się czego obawiać!

— Dlaczego?

— Ponieważ szatan niema już nad nim mocy. Ten medalik bronił go przed złym duchem; wyście mu go zabrali i w tej samej chwili zły duch, który go kusił do zbrodni, którego dotychczas powstrzymywał duch dobry — wszedł w jego ciało, a działanie tego ducha widzieliście sami.

— Skąd więc pochodził ten krzyk, który słysze-
liśmy?

— Szatan wydał go, czując, że zdobycz wymy-
ka mu się z rąk.

— Tak, — rzekł kat — istotnie, tak mogło być.

— Tak było.

— No, więc, zawieszę go napowrót na haku!

— Uczynicie to! Sprawiedliwość niech idzie
swoim torem, wyrok musi być spełniony.

— A teraz, — wtrącił kat, — nie spuszczać ze
mnie oczu i przy najmniejszym krzyku biegnijcie na
pomoc!

— Nie bójcie się, nie będziecie potrzebowali mej
pomocy.

Zbliżył się do nieboszczyka, podniósł go łagod-
nie i zawlókł ku drabinie, mówiąc doń:

— Nie bój się, l'Artifaille! nie chcę ci zabrać
twego medalika... Księżę wikary, nie spuszczać ze
mnie oka, nieprawdaż?

— O bądź spokojny, przyjacielu!

— Nie chcę ci zabrać twego medalika! — cią-
nął kat dalej perswadującym tonem, — nie, bądź spo-
kojny; ponieważ chciałeś tak, pochowamy cię razem
z nim! Prawda, księżę, że nie rusza się?

— No, widzicie sami!

— Pochowamy cię razem z nim. A teraz powie-
szę cię na twoim miejscu na żądanie księdza wikare-
go, — gdyż co do mnie, to wiesz dobrze...

— Tak! tak! — przerwałem, nie mogąc wstrzy-
mać się od śmiechu, — ale spieszcie się!

— Już zrobione! — rzekł, puszczając trupa, za-
wieszzonego znów na haku, i zeskakując z drabiny.

Trup wisiał w powietrzu nieruchomy i sztywny.
Padłem na kolana i począłem odmawiać modlit-
wy, o które prosił l'Artifaille.

Po skończeniu modlitw podniosłem się.

— L'Artifaille! — zawołałem głośno do wisielca, — com mógł zrobić dla zbawienia twej duszy, zrobiłem! W mocy Najświętszej Panny pozostaje dokończyć reszty!

— Amen! — dodał mój towarzysz.

W tej chwili blask księżycy oblał zwłoki, jak srebrna kaskada. Na kościele NP. Marji wybiła północ.

— Teraz nie mamy tu już nic do roboty! — rzekłem do kata.

— Księżu dobrodzieju! — odparł bledak, — czy moglibyście mi wyświadczyć jeszcze jedną łaskę?

— Jaka?

— Odprowadzić mnie do domu; dopóki własne drzwi nie odgradzą mnie od tego filuta, nie będę miał spokoju!

— Chodźcie, przyjacielu!

Opuściliśmy plac stracenia, przyczem mój towarzysz co dziesięć kroków oglądał się, czy nieboszczyk wisi na swoim miejscu.

Wszystko było w porządku.

Powróciliśmy do miasta.

Gdym się obudził na drugi dzień rano, powiedziano mi, że żona bandyty czeka w jadalni.

Oblicze jej było spokojne, prawie wesołe.

— Księżu dobrodzieju! — rzekła, — przychodzę wam podziękować: wczoraj, gdy na kościele NP. Marji biła północ, ukazał mi się mój mąż i rzekł do mnie: — „Idź jutro rano do księdza Moulle i powiedz mu, że dzięki jemu i Najświętszej Pannie — jestem zbawiony!“

Bransoletka z włosów.

— Proszę księdza, — rzekł Alliette, — zgadzam się w zupełności na teorię o wpływie dobrego i złego ducha, jednakże istnieje coś, o czem zapomniałeś, czego zaś ja jestem przykładem: mianowicie, iż śmierć nie zabija życia. Śmierć jest tylko pewnego rodzaju przeistoczeniem ludzkiego ciała; niweczy tylko pamiętać nic więcej.

Gdyby pamięć pozostała żywa, wówczas każdy mógłby przypomnieć sobie wędrówki swej duszy od początku świata aż do naszych czasów. Kamień filozoficzny — to właśnie to zagadnienie, to samo które rozwiązał Pytagoras, a które powtórnie odkryli hrabia Saint-Germain i Cagliostro. Tajemnicę tę i ja posiadam; ona to sprawia, iż ciało moje umrze, jak już umarło z cztery lub pięć razy — co sobie przypominam. I znów mówiąc, że ciało moje umrze, — myślę się, gdyż są ciała, które nie umierają, i ja właśnie posiadam takie!

— Panie Alliete! — przerwał doktor — czy mogę pana z góry prosić o pozwolenie?

— Jakże?

— Otwarcia pańskiego grobu w miesiąc po śmierci.

— W miesiąc w dwa, w rok, dziesięć lat, jeśli chcesz, doktorze! Jednak postępuj ostrożnie... gdyż wszelka krzywda, wyrządzona memu ciału, zaszkodziłaby innemu ciału, w które przejdzie moja dusza.

— Wierzysz pan zatem w tę nedorzecznosc?

— Mam powód do wierzenia; widziałem to!

— Coś pan widział? — żywego nieboszczyka?

— Tak.

— Opowiedz-że to, Alliette! Skoro każdy już

przedstawił swoją historję, opowiedz i ty swoją! Może będzie najprawdopodobniejszą ze wszystkich!

— Czy najprawdopodobniejsza, czy nie, powtórzę ją jednak zgodnie z prawdą, doktorze! Jechałem ze Strassburga do kąpiel w Louesche i naturalnie, przejeżdżałem przez Bazyleję, gdzie musiałem opuścić dyliżans pocztowy i nając powóz prywatny.

Przybywszy do zajazdu „pod Koroną“, począłem dowiadywać się o jaki powóz do wynajęcia i poprosiłem gospodarza, by mi pomógł w poszukiwaniach i dowiedział się, czy kto z miasta nie zechciałby odbyć tej podróży razem ze mną; miał tej osobie zaproponować ponoszenie wspólnych kosztów, przez co podróż stałaby się przyjemniejszą i tańszą.

Na wieczór znalazło się to, czego szukał: żona pewnego kupca bazylejskiego, straciwszy właśnie trzymiesięczne dziecko, które sama karmiła, zapadła z bólu po tej stracie w chorobę, na którą polecono jej kąpiele w Louesche. Było to jej pierwsze dziecko, gdyż wyszła za mąż przed rokiem.

Gospodarz opowiedział mi, że tylko z wielkim trudem zdołano młodą kobietę nakłonić do rozstania się z mężem. Chciała koniecznie pozostać w Bazylei, albo żeby mąż jechał razem z nią. Ale z jednej strony zdrowie jej wymagało kuracji, i, z drugiej — interesy handlowe czyniły obecność męża w Bazylei konieczną, to też wreszcie zdecydowała się jechać. Następnego rana mieliśmy odjechać razem, w towarzystwie jej pokojówki.

Czwarte miejsce w powozie miał zająć pewien ksiądz z pobliskiej wsi.

Nazajutrz rano o ósmej powóz zajechał przed gospodę; ksiądz siedział już w nim. Wsiadłem i ja, poczem udaliśmy się po młodą kobietę i jej służącą.

Siedząc w powozie byliśmy świadkami czulego pożegnania obojga małżonków. Zaczęło się ono

w mieszkaniu, ciągnęło się dalej w magazynie a skończyło się dopiero na ulicy. Młoda kobieta miała widocznie jakieś przecucie, gdyż była niepokieszona. Możliwy sądzić, iż wybiera się nie na odległość pięćdziesięciu kilometrów, lecz w podróż naokoło świata.

Mąż okazywał więcej spokoju, chociaż i on był bardziej wzruszony, niż to wypadało wobec tak krótkiej rozłąki.

Nareszcie odjechaliśmy, kierując się na Solurę; pierwszy postój wypadł w Mundischwill. Cały dzień nasza towarzyszka była przygnębiona i niespokojna. Pod wieczór ujrawszy powóz, jadący w przeciwną stronę, chciała nim powrócić do Bazylei. Wreszcie jednak pokojówka nakłoniła ją do dalszej jazdy.

Nazajutrz rano około dziewiętej wyruszyliśmy w drogę, która miała być krótka, gdyż zamierzaliśmy zatrzymać się w Solurze.

Koło wieczora, gdyśmy już dojeżdżali do tego miasta, nasza chora zerwała się nagle z okrzykiem:

— Ach, zatrzymajcie się, pędzą za nami!

Wychyliłem się przez okno powozu.

— Pani się myli. — rzekłem, — droga jest pusta.

— To dziwne, słyszałam tętent konia!

Mniemając, iż niedobrze się rozejrzałem, wysiadłem z powozu.

— Pani, niema nikogo! — rzekłem.

Wyrzwała sama i przekonała się również, iż na drodze nie było widać nikogo.

— Omyliłam się! — rzekła, siadając.

Zamknęła oczy, jakby chcąc skupić myśli.

Na drugi dzień wyruszyliśmy w drogę o piątej rano. Tym razem podróż była długa. Woźnica chciał przenocować w Bernie. O tej samej godzinie, co poprzedniego dnia, to jest około piątej, towarzyszka nasza ocknęła się z pół-snu, w którym była pogrążona i wyciągając rękę ku woźnicy, zawołała:

— Stójcie! Teraz jestem pewna: pędzą za nami!

— Pani się myli! — odparł woźnica. — Widzę tylko trzech wieśniaków, którzy nadchodzą tam z boku. Idą całkiem spokojnie.

— Ależ ja słyszałam galop konia!

Wyrzekła te słowa z taką siłą przekonania, że musiałem mimowoli obejrzeć się.

Droga była zupełnie pusta, jak i wczoraj.

— To niemożliwe, pani, nie widzę żadnego jeźdźca!

— Jak to być może, że pan nie widzi żadnego jeźdźca, skoro ja widzę cię człowieka i konia?

Spojrzawszy we wskazanym kierunku spostrzegłem istotnie cię człowieka na koniu, napróżno jednak szukałem ciał, do których te cienie należały.

Zwróciłem uwagę księdza na to osobliwe zjawisko. Przeżegnał się. Cię zaczął błędnać, z każdą chwilą stawał się coraz bardziej przejrzysty, aż wreszcie zniknął zupełnie.

Przybyliśmy do Berna.

Wszystkie te prognostyki wydały się biednej kobiecie zapowiedzią nieszczęścia. Powtarzała ciągle, że chce wracać, jednakże pojechała dalej.

Czy to skutkiem trwogi moralnej, czy też postępu choroby — chora przybywszy do Thun poczuła się tak źle, że musiała dalszą drogę odbywać w lektyce. W ten sposób przybyła dolinę Kander i Gemmi. Po przybyciu do Louesche zachorowała na różę. W miesiąc zaniewidziała i ogłuchła.

Zresztą przecucia nie zawiodły jej. Zaledwo oddaliła się dwadzieścia kilometrów od Bazylei, jej mąż dostał zapalenia mózgu.

Choroba postępowała tak szybko, że tego samego dnia chory, czując swój poważny stan, wysłał konnego posłańca, by uwiadomić o wszystkim żonę i nakłonić ją do powrotu. Jednakże między Laufen

a Breintenbach koń potknął się i jeździec spadł, uderzając głową o kamień; zaniecono go do pobliskiej gospody, skąd dał znać o wypadku, jaki mu się zdarzył.

Wysłano natychmiast drugiego posłańca, lecz i nad tym zaciążył fatalizm; w dolinie Kander zsiadł z konia i wziął przewodnika przez wyżynę Schwalbach; w połowie drogi porwała go lawina, spadająca z góry Attels i strąciła w przepaść; przewodnik jakby cudem ocalał.

Tymczasem choroba czyniła gwałtowne postępy; musiano choremu ogolić głowę, ponieważ nosił długie włosy, by mu robić okłady z lodu. Umierający stracił już wszelką nadzieję i w chwili ulgi napisał do żony:

„Droga Berto! Jestem bliski śmierci, lecz nie chcę całkowicie rozłączyć się z Tobą. Każ sobie spleść bransoletę z włosów, które mi ucięto i które kazałem przechować. Noś zawsze, a jestem przekonany, że wnet się połączymy znowu. Twój Fryderyk.“

List ten oddał Jeciemu posłańcowi, polecając mu wyruszyć w drogę natychmiast po swej śmierci.

Zmarł tego samego wieczora. Posłaniec odjechał w godzinę po jego zgonie i piątego dnia dotarł do Louesche.

Zastał żonę kupca ślepą i głuchą. Jednak po miesiącu, dzięki kuracji i zbawiennym wodom Louesche oba kalectwa poczęły ustępować. Dopiero w drugim miesiącu odważono się zawiadomić biedną kobietę o nieszczęściu, na które była już przygotowana przez różne przeczucia i prognostyki. Pozostała na miejscu jeszcze jeden miesiąc, by się całkowicie wyleczyć; wreszcie po trzechmiesięcznej nieobecności powróciła do Bazylei.

Ponieważ i ja w tych kąpielach wykurowałem

swe niedomagania reumatyczne i zabierałem się również do odjazdu, prosiłem ją więc o pozwolenie podróży z nią, na co chętnie się zgodziła, zyskując we mnie w ten sposób towarzysza podróży, z którym mogła rozmawiać o swym mężu, znanym mi z krótkich chwil wyjazdu z Bazylei.

Wyjechaliśmy z Louesche i piątego dnia stanęliśmy w Bazylei.

Trudno sobie wyobrazić coś smutniejszego i tragiczniejszego nad powrót młodej wdowy do domu. Po śmierci męża zamknięto magazyn, ruch handlowy ustał, jak ruch zegara, gdy się wahadło zatrzyma. Wezwano lekarza, który leczył nieboszczyka, oraz wszystkie osoby obecne przy jego śmierci, i tak prawie już zapomniany zgon odżył na nowo w sercach wszystkich tych osób.

Spytana, gdzie są włosy, które jej mąż zapisał.

Lekarz przypomniał sobie, iż polecił nieboszczykowi podczas choroby uciąć włosy: cyrulik też pamiętał dobrze, że mu je zgolił, lecz włosy przepadły bez śladu.

Wdowa była zrozpaczona; nie mogła wykonać jedynego życzenia zmarłego.

Upłynęło wiele nocy, smutnych nocy, podczas których błądząca po domu wdowa podobniejsza była do cienia, niż do żywej istoty.

Zaledwo położyła się spać, zaledwo poczyniała usypiać, uciuwała w prawem ramieniu odretwienie i budziła się w chwili, gdy to odretwienie posuwało się coraz wyżej, aż do serca.

Zaczynało się ono powyżej kostki, w tem miejscu, gdzie zwykle nosi się bransoletkę; uciuwała tu ból, jak wspomnieliśmy, posuwał się coraz wyżej, aż do serca.

Widocznie zmarły w ten sposób wyrażał boleść z powodu zaniedbywania jego ostatniej woli.

Wdowa zrozumiała ten wyrzut, pochodzący z za grobu. Postanowiła tedy kazać otworzyć grób męża i — jeśli nie wszystkie włosy mu ucięto — wziąć z nich tyle, ile będzie trzeba na sporządzenie bransoletki.

Nie mówiąc nikomu słowa o tym zamiarze, kazała wezwać grabarza. Lecz ten, który pogrzebał jej męża, w międzyczasie umarł, nowy zaś, pełniący obowiązki dopiero od ośmiu dni, nie wiedział, gdzie się grób znajduje.

Lecz wdowa, spodziewając się objawienia, gdyż dwukrotne ukazanie się jeźdźca i konia, jakoteż ucisk w ramieniu uczyniły ją skłonną do wiary w cuda, — udała się sama na cmentarz. Usiadłszy na porośniętym trawą grobie, prosiła o znak, którymby się mogła kierować w poszukiwaniach.

Na murze cmentarnym wymalowany był taniec szkieletów. Jej oczy spoczęły na postaci śmierci, patrząc długo na to śmiejące się i straszne zarazem oblicze.

Nagle zdało jej się, że śmierć podnosi kościste ramię i palcem pokazuje jeden z ostatnich grobów.

Wdowa zbliżyła się do wskazanego grobu i ujrzała teraz wyraźnie, że ramię śmierci wróciło do pierwotnej pozycji.

Zrobiła na grobie znak rozpoznawczy, sprowadziła grabarza i zawiódłszy go w to miejsce, rzekła:

— Kopcie tutaj!

Byłem przy tem obecny, chcąc być świadkiem tej osobliwej historii aż do końca.

Grabarz począł kopać.

Wydobywszy trumnę, przystąpił do otwierania wieka. Z początku wzdragał się, lecz wdowa zawołała rozkazującym tonem:

— Otwórzcie wieko! to jest trumna mego męża!

Gdy grabarz wykonał polecenie ujrzelśmy coś cudownego:

Nietylko, że nieboszczyk ów istotnie okazał się jej mężem, nietylko, że wyglądał jak żywy, lecz nadto włosy, ucięte w dzień śmierci, urosły tak bujnie, że jak korzenie rośliny wily się przez wszystkie szczeliny trumny.

Biedna kobieta pochyliła się nad zwłokami męża, który wyglądał, jakoby spał tylko, ucałowała go w czoło, odcięła pęk włosów, tak cudownie wyrosłych na głowie nieboszczyka i kazała sobie z nich zrobić bransoletkę.

Odtąd nocne odrętwienie ustało. Tylko gdy jej groziło jakie wielkie niebezpieczeństwo, czuła łagodny uścisk, przyjazne zaciśnięcie się bransoletki, ostrzegające ją, by się miała na baczności.

A teraz powiedźcie: czy sądzicie, że trup był istotnie trupem, że nieboszczyk nie żył? Ja jestem przeciwnego zdania!

— Ach! — rzekła niewiasta osobliwym tonem, który wśród tej ciemności wywarł na nas przejmujące wrażenie, — czy opowiadano panu, iż nieboszczyk ten opuścił grób, że go kto widział lub dotykał?

— Nie, — odparł Alliette, — gdyż wnet wyjechałem z Bazylei.

— O, — rzekł doktor, — źle robisz, Alliette, występując z tak niewinnymi historjami. Posłuchaj pani Gregoryskiej, która już gotowa była z twego bazylejskiego kupca zrobić jakiego polskiego, włoskiego lub węgierskiego wampira. Czy pani, — dodał śmiejąc się, widziała wampira?

— Słuchaj pan! — odrzekła dama dziwnie poważnym tonem, — ponieważ wszyscy tu opowiedzieli swoje historie, więc i ja uczynię to samo. Doktorze! nie mów, że to nieprawdziwa historia,

gdyż jest to zdarzenie z mego własnego życia. Dowiesz się pan teraz, czego pańska umiejętność nie potrafiła wytłómaczyć: dowiesz się, skąd pochodzi moja bladeść.

W tej chwili blask księżyca wpadł przez okienne kotary i, oblawszy światłem otomanę, na której mówiąca spoczywała, osrebrzył jej postać, tak, iż była podobna do posagu z białego marmuru, leżącego na grobie.

Nikt jej nie odpowiedział, a panujące w sali głębokie milczenie świadczyło, iż wszyscy słuchają z napięciem. Zaczęła mówić:

XII.

Góry Karpackie.

Jestem Polką, urodzoną w Sandomierzu, pochodzę więc z kraju, gdzie legendy stały się wprost artykułami religii i gdzie wiara w podania rodzinne silniejszą może jest od wiary w ewangelję. Nie masz ani jednego z naszych ziomków, któryby nie posiadał pokutującego ducha. Wśród bogatych i biednych, w pałacach i chatach utrzymuje się wiara w zły i dobry żywioł. Niekiedy rozdwiająją się one i wczynają, a wówczas w korytarzach słychać tajemnicze szmery, w starych wieżach przeraźliwe jęki, w murach czuć tak groźne wstrząśnienia, że wszystko drży i lęka się czy to w pałacu, czy w lepiance i wieśniak pospołu z szlachcicem spieszą do kościoła, aby w krzyżu świętym lub relikwiach znaleźć jedyną obronę przed złym duchem.

Obecnie jednak zwalczają się tam dwie potęgi, o wiele groźniejsze, okrutniejsze i nieublagane, to jest: tyrania i wolność!

W roku 1831 między Rosją a Polską rozgorzała jedna z tych walk, kiedy to krew całego narodu wyczerpuje się jak krew jednej rodziny.

Mój ojciec i dwaj bracia stanęli pod sztandarem narodowej niepodległości, który tylekroć zdeptyany, zawsze się podnosił na nowo.

Pewnego dnia dowiedziałam się, iż mój najmłodszy brat został zabity; innym razem doniesiono mi o śmiertelnym zranieniu starszego; nareszcie, gdy z trwogą wsłuchiwałam się w coraz bliższy grzmot dział, — przybył ojciec mój na czele stu jeźdźców, niedobitków trzechtysięcznego hufca, którym dowodził.

Ojciec zamknął się z temi resztkami swego oddziału w naszym zamku z postanowieniem zagrzebania się pod jego gruzami. Nie obawiając się niczego dla siebie, drżał jednak o mój los. Istotnie dla niego nie było innego wyjścia, jak śmierć, gdyż wiedział, iż żywcem nie wpadnie w ręce okrutnego wroga; mnie natomiast groziła niewola i pohańbienie.

Ojciec wybrał dziesięciu ludzi z pośród stu, którzy mu pozostali, wyznaczył dowódcę, powierzył mu wszystko nasze złoto i kosztowności, a przypomniawszy sobie, że po drugim rozbiorze Polski moja matka, będąc wówczas jeszcze dzieckiem, znalazła schronienie w niedostępnym klasztorze Sahastru, leżącym wśród gór karpackich — polecił mu odwieźć mię do tego klasztoru, który niechybnie dla córki okaże się również gościnnym, jak niegdyś dla matki.

Mimo iż ojciec żywił dla mnie bezgraniczną miłość, pożegnanie było krótkie. Według prawdopodobieństwa Rosjanie mogli już nazajutrz stanąć pod murami zamku, chwili więc czasu nie było do stracenia.

Pospiesznie włożyłam amazonkę, w której zwykle towarzyszyłam bratu na łowach. Osiodłano mi najpewniejszego konia z naszej stajni, ojciec własnoręcznie włożył mi do olster parę własnych pistoletów, arcydzieło fabryki tulskiej — uściskał mnie i dał rozkaz do odjazdu.

W ciągu nocy i następnego dnia przebyliśmy dwadzieścia mil, podróżując wzdłuż bezimiennego potoku, który jest dopływem Wisły. Ten pierwszy etap podróży zapewnił nam bezpieczeństwo przed pościgiem wroga.

W blasku ostatnich promieni zachodzącego słońca ujrzeliśmy pokryte śniegiem szczyty Karpat. Wieczorem dnia następnego znaleźliśmy się u podnóża tych gór, a rankiem trzeciego dnia przebywaliśmy jeden z wąwozów karpaccich.

Dziesięć dni podróży minęło bez złych przygód. Moglibyśmy już rozróżnić szczyty góry Pion, — przewyższającej swym wierzchołkiem całą rodzinę olbrzymów — na której stoku leży klasztor Sahastru, cel naszej podróży. Trzy dni jeszcze, a stanie my na miejscu.

Lipiec miał się ku końcowi, dzień był upalny, dopiero około czwartej godziny zażywaliśmy niewypowiedzianej rozkoszy pierwszego chłodnego powiewu podwieczornego. Ruiny wież Niantzo już minęliśmy i zstapiliśmy na płaszczyznę, którą już zdążyliśmy dostrzec z wąwozu. Z tego punktu można było obserwować bieg rzeki Bystrzycy. Jadąc wzdłuż jej brzegu, dotarliśmy do wąwozu, w którym wierzchowce miały zaledwie tyle miejsca, że mogły parami postępować.

Nasz przewodnik szedł przodem i, oparty o swe go konia, śpiewał monotonna piosnkę morlacką.

Nagle rozległ się wystrzał z broni palnej i świsnęła kula, przerywając pieśń. Przewodnik śmiertelnie zraniony, stoczył się w skalisty wą-

wóz, podczas gdy jego koń drżąc przystanął i rozumną głowę wyciągnął ku przepaści, w której zniknął jego pan.

Równocześnie rozległ się donośny okrzyk i ujrzelśmy u stóp wzgórza ze trzydziestu bandytów; byliśmy zupełnie zewsząd otoczeni.

Każdy z nas schwycił za broń, i choć towarzysze moi byli zaskoczeni niespodzianym napadem, jednak jako starzy, w bojach doświadczeni żołnierze, nie dali się zastraszyć, lecz stawili mężnie opór. Ja sama dałam przykład, chwytając za pistolet, a czując krytyczną sytuację zawołałam: — Naprzód! — i spiełam wierzchowca, dążąc ku równinie. Niestety, mieliśmy doczynienia z góralami, którzy skakali ze skały na skałę, jak istne demony przepaści, dając równocześnie ognia — i ciągle zajmowali oskrzydłające nas stanowisko.

Zresztą nasz manewr był z góry przewidziany. W miejscu, gdzie ścieżka się rozszerzała i góra przechodziła w płaskowzgórze — oczekiwał jakiś młodzieniec na czele dwunastu jeźdźców, który, spostrzegłszy nas, popędził rumaki i zagroził nam drogę, podczas gdy tamci stoczyli się ze stoków góry i odcięli odwrót, osaczając naszą garstkę ze wszystkich stron.

Położenie było nader krytyczne, mimo to, będąc od małości przyzwyczajona do walk, nie traciłam z oka żadnego poruszenia przeciwników.

Wszyscy ci ludzie, odziani w owcze skóry, nosili bardzo szerokie okrągłe kapelusze, ozdobione kwiatami, jak Węgrzy. Każdy trzymał w ręce długą flintę turecką, którą po strzale wywijali, wydając przytem dzikie okrzyki; za pasem mieli po parze pistoletów i zakrzywione szable.

Dowódcą ich był młodzieniec około 22 letni, o bladym licu, z długimi czarnymi włosami, które w kędziorach splotywały mu na ramiona. W dłoni

błyszczała mu zakrzywiona szabla, za pasem tkwiły cztery pistolety. Podczas walki wydawał szorstkie, nieartykułowane okrzyki, zdaje się nie należące do żadnego ze znanych języków, które jednak wyrażały jego wolę, gdyż na dźwięk tego głosu rzucali się bandyci plackiem na ziemię, by uniknąć wystrzałów naszych żołnierzy, poczem natychmiast zrywali się dając ognia, powalając żywych, dobijając rannych i zamieniając wreszcie walkę w rzeź.

Straciłam dwie trzecie moich obrońców. Jednego po drugim. Ci, którzy pozostali, skupili się koło mnie, nie prosząc o łaskę i myśleli tylko o tem, aby życie sprzedać jak najdrożej.

Wtem młody dowódca wydał okrzyk, bardziej pełen znaczenia, niż dotychczasowe i ostrze szabli skierował w naszą stronę. Bezwątpienia rozkazał, by nas wzięto w ogień krzyżowy i zrobiono koniec — gdyż wszystkie muszkiety mołdawskie zwróciły się na nas. Poczuliśmy, iż nadchodzi ostatnia godzina, podniosłam tedy oczy ku niebu i z modlitwą na ustach oczekiwałam niewątpliwej śmierci.

Nagle ujrzałam jakiegoś młodzieńca, który zsunął się raczej, niż zstąpił — przeskakując ze skały na skałę, aż wreszcie zatrzymał się na skale, wyciągnął rękę ponad polem walki i wyrzekł, jedno, jedyne słowo:

— Stać!

Na dźwięk tego głosu wszyscy podnieśli oczy i każdy okazał posłuszeństwo temu nowemu panu. Jeden tylko bandyta przyłożył powtórnie strzelbę do ramienia i wystrzelił.

Jeden z naszych ludzi wydał okrzyk bólu: — kula przeszła mu lewe ramię. Odwrócił się natychmiast, by wypalić do tego, który go zranił; lecz zaledwie jego koń postąpił parę kroków, nad głowami naszymi świsnęła kula i zdradziecki bandyta runął na ziemię z rozstrzaskaną czaszką.

Powróciwszy do przytomności, spostrzegłam, że leżę na trawie, a głowa moja spoczywa na kolanie jakiegoś mężczyzny. Widziałam tylko jego białą, pierścieniami okrytą rękę, obejmującą mnie, podczas gdy przedemną skrzyżowawszy ręce na piersi i szablę trzymając pod pachą, stał ów młody mołdawski dowódca, kierownik napadu na nas.

— Kostaki! — rzekł po francusku, tonem wyższości, ten, który mnie podpierał — natychmiast odejdz ze swymi ludźmi i mnie pozostaw troskę o tę kobietę!

— Bracie! — odrzekł, hamując gniew ten, do którego te słowa były zwrócone. Strzeż się nadużywać mej cierpliwości, pozostawiam ci zamek, pozostaw ty mnie las. W zamku ty jesteś panem, lecz tutaj władam ja. Tutaj potrzebuję rzec tylko słowo, by cię zmusić do posłuszeństwa!

— Kostaki, jestem starszy, to znaczy, żem panem zarówno w lesie, jak w zamku. Pochodzę tak samo jak ty z krwi Brankowanów — z krwi królewskiej — która zwykła rozkazywać — i ja też rozkazuję!

— Rozkazujesz swoim żołnierzom, Gregorisko, lecz nie mnie!

— Twoi żołnierze, Kostaki, są zbójcami, których każę powiesić na blankach naszych wieżyc, jeśli mię w tej chwili nie usłuchają!...

— No, więc spróbuj im rozkazywać!...

Czułam, że ten, który mnie podtrzymał, cofnął kolano i głowę mą oparł łagodnie na kamieniu. Z trwogą popatrzyłam za nim i ujrzałam wreszcie tego człowieka, który w zamęcie walki spadł jakby z nieba — a któremu nie mogłam się wpierv dobrze przypatrzeć, gdyż popadłam w omdlenie.

Był to młodzieniec może 24-letni, pięknie zbudowany, o wielkich niebieskich oczach, w których jaśniała stanowczość i energia. Jego długie, jasne

włosy, zdradzające słowiańskie pochodzenie, spadały na puklach na ramiona, jak u św. Michała Archaniola, otaczając młodą i świeżą twarz; usta rozchyłał uśmiech, ukazując dwa rzędy zębów, jak perły; spojrzenie jego było, jak spojrzenie orła, krzyżujące wzrok z błyskawicą.

Wyciągnął rękę, której nawet brat własny się lękał i wyrzekł kilka słów w mołdawskim języku.

Słowa te widocznie wywarły na bandytach głębokie wrażenie.

Następnie przemówił dowódca w tym samym języku, a słowa jego, jak mi się zdaje, były to przekleństwa i groźby.

Na tą długą, namiętną przemowę odpowiedział starszy brat jedno tylko słowo.

Bandyci skłonili głowy.

Dał znak i zbójcy, stanęli za nami.

— A więc, niech będzie, Gregorisko! — rzekł Kostaki znowu po francusku — ta dziewczyna nie pójdzie do grotty, lecz mimo to będzie moja. Podoba mi się, zdobyłem ją i pożądam jej!

Po tych słowach rzucił się ku mnie i ujął mnie w ramiona.

— Tę dziewczynę odprowadzi się do zamku i powierzy mojej matce; ja nie spuszczę jej z oka — odparł mój obrońca.

— Mego konia! — zawołał Kostaki po mołdawsku.

Dziesięciu bandytów pospieszyło wykonać rozkaz pana i przyprowadziło mu żądanego wierzchowca.

Gregoriska spojrział dokoła, chwycił za cugle pierwszego z brzegu konia i skoczył na siodło, nie dotknąwszy strzemion.

Kostaki również zrecznie dosiadł swego ruma-ka, trzymając mnie ciągle w ramionach i dał koniowi ostrogę.

Koń Gregoriski jakby w równym stopniu odczuł ostrogę, popędził równo z wierzchowcem Kostakiego, głowa w głowę, szyja w szyję.

Piękny był widok tych dwu jeźdźców, pędzących obok siebie w ponurem milczeniu, obaj oddali się na wolę swych rumaków, które w szalonym biegu sadziły przez skały i przepaście, rozpadliny i potoki. Leżąc z głową w dół przechyloną, widziałam piękne oczy Gregoriski, utkwione we mnie. Gdy to zauważył Kostaki, podniósł mi głowę do góry i widziałem odtąd tylko jego ponury, pożerający mnie wzrok. Zamknęłam oczy, lecz napróżno, gdyż ciągle czułam to przenikające spojrzenie, które wdzierało się w mą pierś i przesywało serce. Wówczas uległam osobliwemu złudzeniu: zdawało mi się, iż jestem ową Lenorą z Ballady Bürgera, którą unosi upiorny rycerz na widmowym koniu. Gdyśmy się zatrzymali, —ogarnęło mię takie przerażenie, iż otwarłam oczy, spodziewając się ujrzeć dookoła tylko potrzaskane krzyże i otwarte groby. Widok, który mi się przedstawił, nie był zbyt pocieszający: był to podworec zamku moldawskiego z XIV stulecia.

XIII.

Zamek Brankowan.

Kostaki postawił mię na ziemi i szybko zesiadł z konia; Gregoriska jednak już go uprzedził.

Gregoriska, jak sam zaznaczył, był rzeczywiście panem w zamku.

Służący, ujrzawszy nadjeżdżających panów i obcych ludzi, podbiegł szybko; jakkolwiek jednak usługiwali obu panom, to dało się zauważyć, że Gregoriska cieszył się wśród nich większą czcią.

Podeszły dwie kobiety; Gregoriska wydał im

w mołdawskim języku jakiś rozkaz i ręką dał znak, bym szła z niemi.

W spojrzaniu towarzyszącem temu skinieniu, widać było tyle szacunku, że bez wahania usłu-chałam. W pięć minut później znalazłam się w po-koju najpiękniejszym z całego zamku, chociaż na-wet wcale niewybrednemu człowiekowi musiał się wydawać nieco pusty i niesympatyczny.

Była to wielka, kwadratowa komnata, zawie-rająca rodzaj szezłaga, obitego zieloną materją, słu-żącego w dzień jako siedzenie, w nocy jako łózko. Pięć czy sześć dużych, dębowych krzeseł, obszerna skrzynia i w kącie baldachim, podobny do wielkie-ko konfesjonału, uzupełniały umeblowanie tego po-koju.

Do pokoju wchodziło się po schodach, przy któ-rych w niszach stały trzy posągi Brankowanów, wielkości więcej niż naturalnej.

Wkrótce wniesiono do pokoju podrózne pakun-ki, między innemi także moje tłómczki. Kobiety ofiarowały mi swoje usługi. Przyprowadziwszy do porządku toaletę, wprowadzoną w nieład przez po-przednie wydarzenia, zachowałam jednak amazon-kę, jako strój najbardziej odpowiadający charakte-rowi mych gospodarzy.

Zaledwie załatwiłam się z toaletą, zapukano lekko do drzwi.

— Entrez! — zawołałam po francusku, gdyż jak wam wiadomo, język francuski dla nas Polaków jest prawie ojczystym.

Wszedł Gregoriska, mówiąc:

— Ach, madame! jestem zachwycony, że pani mówi po francusku!

— Ja również, mój panie, czuję się szczęśliwą, iż władam tym językiem, gdyż mogłam, rozumie-jąc, go, ocenić szlachetność pańskiego postąpienia ze mną. W tym języku broniłeś mię pan przed za-

kusami brata; w tym języku przyjmij wyrazy mejsz najszczerzej wdzięczności!

— Dziękuję, pani. Było to całkiem naturalne, że ująłem się za panią w tem położeniu. Właśnie polowałem w górach, gdy usłyszałem nieregularne, ustawicznie padające strzały; odgadłem, iż chodzi tu o gwałtowny napad i poszedłem w ogień, że się tak wyrażę po wojskowemu. Dzięki Bogu przybyłem w samą porę. Lecz pozwól pani zadać sobie pytanie, jakim sposobem będąc osoba tak znakomitego stanu, mogłaś się zapuścić w nasze góry?

— Jestem Polka. Dwaj moi bracia padli w walce z Rosjanami; ojciec pozostał w rodzinnym zamku, by się bronić do ostatka i bezwątpienia podzielił już los synów; na rozkaz ojca uszedłszy przed rzeką, chciałam szukać schronienia w klasztorze Sahastru, w którym matka moja, będąc młoda, w podobnych okolicznościach znalazła pewny przytułek.

— Pani jest nieprzyjaciółką Rosjan? tem lepiej! to pani posłuży za najlepszą rekomendację w naszym zamku; musimy wyteńczyć wszystkie siły w zbliżającej się walce. Wiedząc teraz, kim pani jest, z kolei trzeba, abyś wiedziała, kim my jesteśmy. Nieprawdaż, nazwisko Branikowanów nie jest ci obcem?

Skłoniłam się w milczeniu.

— Moja matka jest ostatnią księżniczką tego nazwiska, ostatnią latoroślą owego znakomitego męża, którego Kantymirowie, ci nędzni służalcy Piotra I., kazali niecnie zamordować. Matka moja poślubiła pierwszy raz wojewodę Serbana, również księcia, choć z mniej znacznego rodu.

Ojciec mój wychowany we Wiedniu, tam nauczył się cenić zdobycze cywilizacji. Postanowił zemnie zrobić Europejczyka; podróżowaliśmy więc po Francji, Włoszech, Hiszpanji i Niemczech.

Wiem dobrze, iż nie wypadaloby mi jako synowi opowiadać tego, lecz ponieważ w obopólnym interesie leży, abyś pani nas poznała — przeto będziesz musiała ocenić pobudki tych wynurzeń: Matka moja w czasie pierwszej podróży, gdy byłem jeszcze dzieckiem — utrzymywała zakazane stosunki z pewnym hersztem partyzantów, bo tak nazywano u nas — dodał Gregoriska z uśmiechem — tych ludzi, którzy panią napadli — niejakim hrabią Giordakim Koproli, pół Grekiem, pół Mołdawianinem. Matka listownie wyznała wszystko memu ojcu, żądając rozvodu, przyczem wychodziła z zasady, iż jako Brankowianka z domu nie może nadal pozostać żoną człowieka, który z każdym dniem stawał się coraz bardziej obcy własnemu krajowi. Ojciec nie zgodził się na to żądanie, które może się pani wydać osobliwem, jednak u nas uchodzi za rzecz całkiem prostą i naturalną. Umarł na zwapienie łątnic, na które oddawna cierpiał, a list ów ja otrzymałem.

Nie pozostało mi nic innego, jak tylko zanieść szczerze modły do nieba o szczęście dla matki. Życzenie te wraz z doniesieniem o zgonie ojca przesałem jej w liście, prosząc o pozwolenie kontynuowania podróży, co też mi dozwolonom zostało.

Pragnieniem mojem było osiąść w Niemczech lub we Francji, aby nie stykać się z człowiekiem, który mię nienawdził i którego kochać nie mogłem, tj. z mężem matki; wkrótce jednak otrzymałem wiadomość, hrabia Koproli został zamordowany i to, jak mówiono, przez byłego Kozaka mego ojca.

Pospieszyłem do domu, gdyż kochałem matkę i czułem, iż w jej opuszczeniu i trosce konieczną będzie obecność osób najdroższych. Byłem do niej przywiązany po synowsku, choć z jej strony nie doznałem nigdy dowodów żywszej miłości. Pew-

nego więc dnia zjawiłem się niespodzianie w zamku rodzinnym.

Tutaj zastałem młodzieńca, którego z początku uważałem za obcego. Jak się wkrótce dowiedziałem, był to mój brat, Kostaki, owoc wiarołomnego związku, któremu późniejsze małżeństwo nadało prawo legalnego potomka, ten sam nieokielzany Kostaki, którego pani poznałaś. Dla niego niema innych przykazań prócz namiętności, nie na tym świecie nie jest dlań święte, prócz matki, a słucha mnie tylko tak, jak tygrys pogromcy, z ciągłym pomrukiem i z pocieszającą nadzieją pożarcia mię pewnego dnia. W zamku siedzibie Brankowanów, jestem jeszcze panem, lecz poza jego obrębem w otwartem polu staje się Kostaki dzikim synem lasów i gór i chce wszystko nagiąć do swej woli. Dlaczego dziś posłuchał mnie on i jego ludzie? nie wiem sam. Było to zapewne dawne przyzwyczajenie, pozostałość czci. Nie chciałbym jednak próbować na nowo. Pozostań pani tutaj, nie opuszczaj tej komnaty, tego dziedzińca — wogóle obrębu murów zamkowych, a ręczę za wszystko. Jeśli pani jednak choć krokiem wydali się z zamku, wtedy nie ręczę za nic, mogę chyba conajwyżej dać życie w pani obronie.

— A więc nie mogłabym w myśl życzeń ojca doprowadzić do skutku podróży do klasztoru Sa-hastru?

— Uczyni pani to, spróbuj to czynić, wydaj odpowiednie zarządzenia, ja będę ci towarzyszył; lecz po drodze zginę a pani nie dojedzie na miejsce.

— Cóż więc należy uczynić?

— Pozostać tutaj, wyczekiwać, kierować się biegiem okoliczności, zastosować się do nich. Proszę sobie wyobrazić, iż dostała się pani do jaskini zbójckiej, z której tylko osobista odwaga może cię wyratować, tylko zimna krew ocali. Moja

matka, pominawszy miłość do Kostakiego, jest dobra i szlachetna. Zobaczy ją pani wkrótce i uzyska w niej obronę przed dzikiemi namietnościami Kostakiego. Oddaj się pod jej opiekę, jesteś piękna — ona będzie pani życzliwa. Zresztą — (tu popatrzył na mnie z nieopisanym wyrazem) — któżby mógł spojrzeć na panią i nie pokochać jej? Chodźmy teraz do sali jadalnej, gdzie matka nas oczekuje; proszę nie okazywać nieufności lub zakłopotania i mówić po polsku; nikt tu nie rozumie tej mowy, ja więc będę tłómaczył pani słowa matce. Proszę być spokojną, powiem tylko to, co będzie potrzeba. Przedewszystkiem ani słowa o moich zwierzeniach; tam nikt nie podejrzewa, iż się porozumiewamy. Nie zna pani jeszcze chytrości i obłądy nawet najlepszego z naszych. Chodźmy.

Zeszłam za nim po schodach, oświetlonych pochodniami, tkwiącemi w żelaznych, w murze osadzonych, rękach.

Nadzwyczajne to oświetlenie urządzono widocznie na moje przyjęcie.

Weszliśmy do sali jadalnej.

Gdy Gregoriska, otwarłszy drzwi, wyrzekł po mołdawsku słowo: — Cudzoziemka! — wyszła naprzeciw nas jakaś wysoka matrona.

Była to księżna Brankowan.

U jej boku stał Kostaki, wspaniale i poważnie wyglądając w węgierskim stroju; mimo to wydał mi się bardziej jeszcze odpychający.

Pozdrowił mię niezgrabnie, mówiąc po mołdawsku kilka dla mnie niezrozumiałych słów.

— Możesz mówić po francusku, bracie — rzekł Gregoriska — pani jest Polką i rozumie ten język.

Teraz przemówił Kostaki parę słów francuskich, które były dla mnie tak samo niezrozumiałe, jak i mołdawskie. Matka przerwała mu niecierpliwym

gestem ręki, dając obu synom do zrozumienia, iż jej rzeczą jest podejmować mnie.

Jakoteż poczęła do mnie mówić po mołdawsku, przyczem z jej twarzy mogłam się dorozumieć znaczenia słów. Wskazała na stół, naznaczyła mi miejsce przy sobie i ruchem ręki niejako cały dom oddawała mi do rozporządzenia; następnie pierwsza usiadła z miną życzliwej powagi i robiąc znak krzyża, rozpoczęła modlitwę przedobiednia.

Każdy zajął miejsce, jakie mu etykieta przeznaczyła. Gregoriska siedział koło mnie. Ja byłam gościem i jako taka wskazałam Kostakiemu miejsce honorowe koło jego matki Smerandy. Tak się nazywała hrabina.

Inni domownicy jedli przy tym samym stole, usadowieni według swego znaczenia, jako przyjaciele domu lub służący.

Obiad był ponury. Kostaki nie przemówił do mnie ani słowa, zato brat jego był tem uprzejmniejszy, wciąż rozmawiając ze mną po francusku. Matka podsuwała mi potrawy z ową uroczystą, zwykłą sobie powagą. Gregoriska prawdę powiedział: była ona prawdziwą księżną w każdym calu.

Po obiedzie Gregoriska podszedł do matki i w języku mołdawskim przedstawił jej, że, będąc bardzo znużoną wypadkami tego dnia, potrzebuje nieodzownie samotności i spokoju. Smeranda skinieniem głowy dała znać, że uważa to za rzecz słuszną, podała mi rękę, pocałowała mię w czoło, jak córkę, życząc dobrej nocy.

Gregoriska nie omylił się: istotnie teskniałam bardzo za chwilą samotności. Podziękowałam księżnej, która mię odprowadziła aż do drzwi. Tu już oczekiwały te same dwie kobiety, które mię przedtem zaprowadziły do mego pokoju.

Pożegnawszy księżnę i jej synów, znalazłam się w tym samym pokoju, który uprzednio opisałam.

Odbrawiłam służebne i na migi dałam im do zrozumienia, iż rozbiore się sama. Oddaliły się natychmiast z oznakami szacunku, z których domyśliłam się, iż otrzymały rozkaz posłuszeństwa wszystkim moim rozkazom.

Znalazłam się więc sama w tym ogromnym pokoju w cześci tylko oświetlonym świecą, która nie mogła rozjaśnić całej komnaty.

Prócz drzwi prowadzących na schody, które mi weszłam, było jeszcze dwoje drzwi w tym pokoju, lecz ogromne rygle — które pozasuwałam — upewniły mię o bezpieczeństwie i spokoju z tej strony.

Zbadałam drzwi wejściowe. I one również zaostrzone były w zasówki.

Otworzyłam okno: wychodziło na spadzisty bok skały.

Przekonałam się, iż Gregoriska słusznie wybrał właśnie ten pokój dla mnie.

Powróciwszy na sofę, znalazłam na stojącym u wezłównia stoliku, mały, złożony bilecik.

Otworzyłam go i wyczytałam nakreślone po polsku słowa:

„Spij pani spokojnie i nie obawiaj się niczego, dopóki pozostajesz w zamku. Gregoriska“.

Idąc za tą dobrą radą i ulegając niezmiernemu zmęczeniu położyłam się i zasnęłam.

XIV.

Dwaj bracia.

Od tej chwili, byłam w zamku uważana za swoją, od tej chwili też datuje się dramat, który wam pragnę opowiedzieć.

Obaj bracia zakochali się we mnie, każdy w sposób, odpowiadający jego charakterowi.

Kostaki już następnego dnia wyznał, że mnie kocha, oświadczył, że należy do niego, a do nikogo innego i że mnie raczej zabije, niż odda komukolwiek.

Gregoriska nie mówił nic, lecz okazywał mi na każdym kroku troskliwość i uprzejmość. Używał wszelkich środków, jakie mu dało staranne wychowanie, wspomnienia młodości, spędzonej w najświetlejszych centrach Europy — aby mi się spodobać. Ach, nie przyszło mu to z trudnością. Przy pierwszym dźwięku jego głosu czułam już, iż ten głos działa na me serce; przy pierwszym spojrzeniu jego oczu czułam, iż ten wzrok przenika mnie do głębi.

W ciągu trzech miesięcy Kostaki zapewnił mnie ze sto razy, że mnie kocha i odgadł, że go nienawidzę; w ciągu trzech miesięcy Gregoriska ni słowem nie wyznał mi swej miłości, a jednak czułam, iż będę do niego należała, jeśli tego zażąda.

Kostaki zaniechał wycieczek i krokiem nie oddalał się z zamku. Na ten czas zrezygnował z dowództwa na rzecz swego pomocnika, który od czasu do czasu odbierał od niego rozkazy i znowu znikał.

Także i Smeranda pokochała mnie, a było to namiętne przywiązanie, którego oznaki budziły we mnie trwogę. Całkiem wyraźnie brała Kostakiego w opiekę i chyba zazdrośnieszka była o mnie, niż on sam. Ponieważ jednak nie umiała ani po polsku, ani po francusku, ja zaś nie rozumiałam mołdawskiego — przeto nie mogła skutecznie popierać u mnie sprawy swego ulubieńca. Jednakże nauczyła się po francusku trzy słowa, które za każdym razem powtarzała, całując mnie w czoło:

— Kostaki kocha Jadwigę!

Pewnego dnia otrzymałam straszną wiadomość, która dopełniła miary mojego nieszczęścia: Owi

czterej moi towarzysze, pozostali przy życiu, obdarzeni wolnością, udali się do Polski i dali słowo, że jeden z nich do trzech miesięcy powróci z wiadomością o losach mego ojca.

Istotnie, posłaniec przybył. — Nasz zamek został zdobyty, spalony i zrównany z ziemią a ojciec mój poległ w walce.

Byłam więc odtąd sama jedna na świecie.

Kostaki podwoił natarczywość, a Smeranda czułość, lecz teraz żaloba po ojcu posłużyła mi za powód unikania obojga. Kostaki nie zraził się tem, mówiąc, że im samotniejsza jestem, tem bardziej potrzebuję podpory.

Gregoriska opowiadał mi o rzadkiem panowaniu nad sobą, właściwem Mołdawianom, jeśli nie chcą aby podpatrywano ich uczucia. On sam był tego żywym przykładem. Nie może być bardziej przekonaną o czyjejsz czułości, niż ja byłam co do jego uczuć, a jednak gdyby mnie zapytano, na czem polega to przeświadczenie, nie byłabym w stanie tego określić. Nikt w zamku nie widział, aby Gregoriska dotykał mej ręki lub szukał mego spojrzenia. Jedyne zazdrość mogła Kostakiemu odkryć tę rywalizację, tak jak ja miłością odgadłam uczucie go brata.

Przyznać jednak muszę, iż to panowanie Gregoriski nad sobą niepokoiło mnie. Przeświadczenie samo nie wystarczyło mi, chciałam dowodu; wtem pewnego wieczora po powrocie do swego pokoju, usłyszałam lekkie pukanie do zaryglowanych drzwi. Po sposobie pukania poznałam przyjaciela, więc zapytałam: Kto tam?

— Gregoriska! — odrzekł głos, co do którego pomyłka była wykluczona.

— Czego pan sobie życzy? — zapytałam drżąc cała.

— Jeśli pani mi ufa, jeśli uważa mnie za człowieka honoru, to proszę spełnić mą prośbę.

— A mianowicie?

— Proszę zgasić światło, jak gdybyś się już ułożyła do snu, a po upływie półgodziny proszę otworzyć drzwi.

Odpowiedziałam tylko: — Proszę przyjść za pół godziny!

Zgasila światło i czekałam.

Serce biło mi żywo, gdyż czułam, iż chodzi tu o coś nader ważnego.

Upłynęło pół godziny; usłyszałam powtórnie lekkie pukanie, odsunęłam więc rygiel i otwarałam drzwi.

Gregoriska wszedł; nie mówiąc ni słowa, zamknęłam drzwi za nim i zarygłowałam je.

Chwilę stał w milczeniu nieporuszony, dając mi znak, bym również milczała. Przekonawszy się wreszcie, iż nam żadne niebezpieczeństwo nie grozi, powiódł mnie na środek obszernej komnaty a uczuwszy po mem drzeniu, iż nie będę mogła ustać na nogach, podał mi krzesło.

Usiadłam, lub raczej osunęłam się na nie, szepcząc:

— Ach mój Boże, co to jest? dlaczego tyle ostrożności?

— Gdyż nietylko moje życie — o które mniejsza, lecz może i pani życie zależy od tej rozmowy. Przerażona chwyciłam go za rękę.

Podniósł mą rękę do ust — patrząc mi w oczy, jakby prosił o przebaczenie tej śmiałości.

Spuściłam oczy, — to oznaczało przyzwolenie.

— Kocham panią — rzekł głosem tak słodkim jak śpiew — czy i pani mnie kocha?

— Tak!

— Chcesz zostać moją żoną?

— Tak!

Przesunął ręką po czole z głębokiem westchnieniem szczęścia.

— A więc zechcesz iść ze mną?

— Pójdę za tobą wszędzie!

— Pojmujesz, że do szczęścia naszego musimy dążyć zapomocą ucieczki?

— Ach tak, uciekajmy stąd! — zawołałam.

Cicho — przerwał drgnawszy — cicho!

— Ma pan słuszość!

Zbliżyłam się doń, drząc cała.

— Proszę posłuchać, com przedsięwziął — rzekł — i czemu tak długo zwlekałem z wyznaniem miłości. Będąc pewnym wzajemności, chciałem by nic naszemu połączeniu nie stało na przeszkodzie. Jestem bogaty, Jadwigo, i to bardzo bogaty, lecz tak, jak wszyscy magnaci mołdawscy: majątek mój składa się z dóbr, trzód, poddanych. Sprzedałem więc klasztorowi w Hango dobra, bydło i poddanych za sumę jednego miliona. Otrzymałem z tego 300.000 franków w klejnotach, 100.000 w złocie a resztę w wekslach na Wiedeń. Czy ten miljon wystarczy?

Uścisnęłam mu dłoń, mówiąc:

— Twa miłość, Gregorisko, wystarczyłaby mi.

— A więc, proszę posłuchać. Jutro udaję się do klasztoru w Hango, aby z przełożonym umówić się ostatecznie. Będzie trzymał dla mnie konie w pogotowiu na 9 wieczór, ukryte sto kroków od zanku. Po kolacji proszę się udać do swego pokoju, zgasić światło i oczekiwać mnie, tak jak dzisiaj. Następnie wyjdziemy razem przez bramę wiodącą na pola, odszukamy konie i pojutrze rano będziemy już o trzydzieści mil stąd.

— Gdybyż tak było już pojutrze!

— Droga Jadwigo!

Gregoriska, przycisnął mnie do serca; usta nasze spotkały się. Zaiste prawdę rzekł; człowiek

ten, któremu otwierałam drzwi swego pokoju, był człowiekiem honoru. Czuł jednak dobrze, iż jeśli ciałem do niego jeszcze nie należałam, to duszą w zupełności.

Noc minęła, a ja nie mogłam zasnąć ani na chwilę. W myśli widziałam się już uciekającą z Gregoriska; wyobrażałam sobie, iż mnie unosi jak niegdyś Kostaki; jazda to była groźna i śmiertelnie ponura, zmieniła się jednak wkrótce w upojne, słodkie marzenie, któremu szybkość pedu dodawała uroku.

Zaświtał dzień. Zeszłam na dół; zdawało mi się, iż tym razem Kostaki pozdrowił mnie bardziej jeszcze ponuro, niż zwykle. Uśmiech jego nie był już ironiczny, lecz groźny. Smeranda natomiast wydała mi się taka, jak zwykle.

Podczas obiadu wydał Gregoriska zarządzenia co do swych koni.

Kostaki zdawał się nie zważać na to.

Koło jedenastej Gregoriska pożegnał się z nami i zapowiedział, że wróci dopiero wieczorem, przyczem prosił matkę, by nie czekała na niego z obiadem.

Wyszedł. Brat śledził go oczyma, donóki nie opuścił pokoju — w tej chwili w oczach tych zaświecił taki błysk nienawiści, że zadrżałam.

Dzień ubiegł mi w ciągłym niepokoju, co łatwo zrozumieć. Zamysłów naszych nie powierzyłam nikomu, nawet Bogu w modlitwie; mimo to zdawało mi się, iż cały świat wie o naszym projekcie, i jakby każde spojrzenie sięgało w głąb mego serca i czytało w myślach.

Obiad był dla mnie istną męczarnią; ponury i milczący Kostaki odzywał się rzadko; dzisiaj przemówił tylko dwa lub trzy razy po moldawsku do matki, a każde jego odezwanie przerażało mnie.

Gdy powstałam, chcąc udać się do swego po-

koju, Smeranda, uścisnęła mię, jak zwykle, mówiąc te trzy słowa, które od ośmiu dni nie schodziły jej z ust:

— Kostaki kocha Jadwigę!

To oświadczenie prześladowało mnie jak groźba. Gdy już byłam w swoim pokoju, zdawało mi się, iż jakiś tajemniczy głos szepcze mi jeszcze do ucha:

— Kostaki kocha Jadwigę!

Przecież — jak rzekł Gregoriska — miłość Kostakiego znaczyła — śmierć.

Około siódmej, gdy dzień już był na schyłku, spostrzegłam Kostakiego, idącego przez dziedzińiec. Podniósł głowę, patrząc w moje okno; czempredzej odskoczyłam, aby mię nie dostrzegł.

Zaniepokoiło mię, że szedł w kierunku stajni. Odważyłam się więc odsunąć rygiel bocznych drzwi i przeszłam do sąsiedniego pokoju, skąd mogłam jego poruszenia dokładniej obserwować.

Podążył on rzeczywiście do stajni i kazał wyprowadzić swego ulubionego konia, własnoręcznie go osiodłał ze starannością człowieka, zwracającego uwagę na każdy szczegół. Był tak samo ubrany, jak wówczas gdy go pierwszy raz ujrzałam, lecz za całe uzbrojenie miał jeno szablę.

Osiodławszy konia spojrział raz jeszcze w moje okno, a nie ujrzawszy mię w niem, skoczył na siodło, kazał sobie otworzyć tę samą bramę, przez którą jego brat był wyjechał i popędził galopem — w kierunku klasztoru Hango.

Teraz serce ścisnęło mi się w niewypowiedzianym lęku; ponure przeczucie mówiło mi, że Kostaki wyjechał naprzeciw brata.

Stałam przy oknie, dopóki tylko mogłam obiać okiem drogę, która ćwierć mili od zamku skręcała, gubiąc się w ciemnym lesie. Noc zapadała coraz szybciej i wreszcie wszystko pokryły ciemności.

Czekałam jeszcze. Wreszcie nadmiar lęku dodał mi siły i zesłam na salę, gdzie miałam usłyszeć coś o jednym lub drugim z braci.

Pierwsze spojrzenie me spotkało Smerandę. Z jej spokojnych rysów nie widać było żadnej obawy; wydawała zwykle rozkazy co do kolacji, a nakrycia obu braci leżały na swoich miejscach.

Nie odważyłam się stawiać pytań; o cóż zresztą miałam pytać? Nikt w zamku, prócz Kostakiego i Gregoriski nie rozumiał obu języków, które mi władałam. Najmniejszy odgłos przerażał mnie.

Do stołu zasiadano zwykle o dziewiątej. Śledziłam bieg wskazówek na ściennym zegarze, minuta po minucie.

Wskazówka powoli zbliżała się do trzech kwadransów na dziewiątą.

Wybiło trzy kwadransy; poczem wskazówka posuwała się dalej niesłyszalnym chodem.

Parę minut przed dziewiątą zdało mi się, iż słyszę na dziedzińcu tętent kopyt końskich. Usłyszała go i Smeranda, gdyż zwróciła głowę ku oknu; lecz noc była zbyt ciemna, by można było cośkolwiek zobaczyć.

Ach, gdyby w tej chwili jej wzrok spoczął na mnie, musiałaby dostrzec, co się działo w mem sercu. — Słychać było tętent jednego tylko konia; wiedziałam dobrze, iż tylko jeden jeździec powróci.

Lecz który?

W przedpokoju rozległy się kroki, powolne i jakby zwlekające; każdy spadał mi kamieniem na serce.

Drzwi otworzyły się i w mroku ujrzałam cień, który chwilę zatrzymał się. Serce przestało mi bić.

Cień postąpił naprzód, a w miarę jak wchodził w przestrzeń oświetloną — oddychałam lżej.

Poznałam Gregoryską. Chwilę dłużej, a serce by mi pękło...

Gregoriska blady był jak śmierć. Wystarczało tylko spojrzeć nań, aby zgadnąć, iż musiało zajść coś strasznego.

— To ty, Kostaki? — przemówiła Smeranda.

— Nie matko — odparł Gregoriska głuchym głosem.

— Ach, to ty jesteś — rzekła — no więc, jak długo matka ma na was czekać?

— Matko — odparł Gregoriska, spoglądając na zegar, — dopiero dziewiąta.

Istotnie w tej chwili, zegar począł bić dziewiątą.

— To prawda — przyznała Smerenda, — gdzie jest twój brat?

Mimowoli przyszło mi na myśl, iż powtórzyła to samo pytanie, które Bóg zadał Kainowi.

Gregoriska milczał.

— Czy nikt nie widział Kostakiego — pytała dalej Smeranda.

Watar, czyli ochmistrz, począł się wywiadywać wśród służby, wreszcie rzekł:

— Około siódmej był hrabia w stajni, sam sobie osiodłał konia i oddalił się drogą ku Hango.

W tej chwili oczy moje spotkały spojrzenie Gregoriski. Nie wiem, czy dobrze widziałam, czy też było to złudzenie: zdawało mi się, iż na jego czole dostrzegłam krople krwi.

Powoli podniosłam palec, znacząc na własnem czole miejsce, gdzie znajdowała się owa kropla.

Gregoriska pojął znak, wyjął chustkę i otarł czoło.

— Tak, tak — mówiła Smeranda — zapewne natrafił na wilka lub niedźwiedzia, na które tak chętnie poluje. Dla takich to rzeczy dziecko każe matce czekać i niepokoić się. Gregorisko, gdzieś go pozostawił, mów!

— Matko, — odrzekł Gregoriska wzruszonym, lecz silnym głosem — nie wyjechaliśmy razem z domu.

— Dobrze — rzekła Smeranda. — Podać do stołu i zamknąć bramy. Kto został na dworze, niech śpi na dworze.

Pierwszy rozkaz został natychmiast wykonany; zasiedliśmy do stołu: Smeranda na głównem miejscu, Gregoriska po jej prawej ręce, ja zaś po lewej.

Następnie służący wyszli spełnić drugi rozkaz, t. j. zamknąć bramy.

Nagle z pod dworca dała się słyszeć wielka wrzawa. Jeden ze służących zadyszany wbiegł na salę mówiąc:

— Księżno! Koń hrabiego Kostaki wpadł właśnie na dziedziniec, bez jeźdźca i krwią zbryzgany!

— Och! — zawołała Smeranda z błądzącością w lichach i ogniem w oku powstając — tak samo niedługo pewnego wieczora powrócił koń jego ojca!

Spojrzałam na Gregoriskę: był już blady, lecz silny.

Smeranda wzięła pochodnie z rąk służącego, otworzyła drzwi i wyszła na dziedziniec.

Koń, widocznie rozdrażniony, wyrwał się trzem czy czterem parobkom, którzy go z trudem poskramiali.

Smeranda zbliżywszy się do zwierzęcia, obejrzała krew, pokrywającą siodło, poczem zauważyła ranę na czole konia.

— Kostaki został zabity z przodu — rzekła — w pojedynku przez jednego jedynego przeciwnika. Szukajcie zwłok; później poszukamy mordercy!

Ponieważ koń przybiegł przez bramę Hango, przeto służący wyszli na poszukiwanie tą samą bramą i widać było ich pochodnie sunące przez pola i ginące w lesie, podobnie jak w piękny wieczór jasnieją roje świetlików na polach Nicei lub Pizy.

Smeranda czekała w bramie, jakgdyby wiedząc, iż szukanie nie potrwa długo. Ani jedna lza

nie spłynęła z oka tej niepocieszonej matki — a jednak czuć było, że rozpacz szarpie jej serce.

Gregoriska stał za nią, a ja obok niego.

Gdyśmy wychodzili z sali, zrobił ruch, jakby mi chciał podać ramię, jednak nie odważył się na to.

Niespełna w kwadrans ujrzeliśmy na zakręcie drogi jedną pochodnię, później dwie, trzy i wreszcie wszystkie, powracające do zamku.

Tym razem nie snuły się rozproszone po polu, lecz skupiły się razem koło wspólnego punktu.

I punkt ów dał się wkrótce rozeznąć: były to nosze, a na nich leżał człowiek.

Smutny orszak poruszał się zwolna naprzód i po upływie dziesięciu minut doszedł do bramy. Niosący nosze ze zwłokami syna, ujrawszy drżącą matkę, instynktownie odkryli głowy i milcząc weszli na dziedziniec.

Smeranda kroczyła z tyłu, my za nią. Tak weszliśmy na wielką salę, gdzie zwłoki złożono na podłodze.

Teraz Smeranda majestatycznym ruchem ręki odsunęła obecnych, przystąpiwszy do trupa, rozpuściła włosy, które ją okryły jakby płaszczem; długo patrzyła na zwłoki, przyczem oczy jej pozostały suche. Następnie rozchyliła na nim młodański żupan i skrwawioną koszulę.

Rana znajdowała się po prawej stronie piersi; musiała być zadana prostem, nader ostrem obojczykiem ostrzem.

Przypomniałam sobie, iż tego samego dnia widziałem u Gregoriska długą kordelas, oczyma poszukałem tej broni, lecz nie było jej przy jego boku.

Smeranda kazała podać wody i zmoczywszy chustkę obmyła zranione miejsce.

Świeża, czysta krew zrosiła brzegi rany.

Scena, którą miałem przed oczyma, była zarazem podniosła i straszna. Ten obszerny pokój,

napełniony wonią żywicznych pochodni, te barbarzyńskie twarze, dziko świecące oczy, osobliwe stroje, ta matka obliczająca na widok świeżej jeszcze krwi, kiedy śmierć mogła nastąpić — głębokie milczenie, przerywane tylko szlochaniem bandytów, oplakujących zgon herszta, wszystko to, jak rzekłam, było straszne lecz i podniosłe. Wreszcie Smeranda ucałowała martwe czoło syna i powstając, odrzuciła w tył swe długie, siwe włosy.

— Gregoriska! — zawołała.

Gregoriska drgnął i zbudził się z odretwienia.

— Co każesz, matko?

— Chodź tu, mój synu i słuchaj!

Gregoriska usłuchał, drżąc.

W miarę, jak bliżej podchodził do trupa, krew z rany poczyniała płynąć obficie i żywszą czerwienią. Na szczęście Smeranda nie patrzyła w tę stronę, gdyż na widok tej oskarżającej krwi nie potrzebowałaby daleko szukać zabójcy.

— Gregoriska — mówiła — wiem dobrze, iż ty i Kostaki nie lubiliście się. Wiem i to, że ty jesteś z rodu Serbanów po twym ojcu, on był Koproli po swoim, lecz przez matkę staliście się obaj Brankowanami. Wiem też, iż jesteś człowiekiem na modłę europejskiego Zachodu, podczas gdy on był dzieckiem gór Wschodu — a jednak byliście braćmi, gdyż jedno łono was wykarmiło. A więc Gregorisko! wiedzieć pragnę, czy mogę teraz spokojnie oplakiwać mego syna, polegając jako kobieta na tobie, jako na mścicielu?

— Nazwijcie mój mordercę, brata, pani, i rozkażcie — a przysięgam wam, iż nim godzina upłynie — będzie on trupem, jeśli taka wasza wola!

— Przysięgnij więc, Gregorisko! przysięgnij pod groźbą mego przekleństwa, czy słyszysz synu? — przysięgnij, iż morderca zginie! że w jego domu nie zostawisz kamienia na kamieniu, że

jego matka, dzieci, bracia, żona czy narzeczona — wszyscy zginą z twej ręki! Przysięgnij i wzywaj na swą głowę pomsty niebios, jeżeli nie dotrzymasz tej świętej przysięgi. Tak, jeśli jej nie wykonasz, narazisz się na nędzę, na złorzeczenia przyjaciół i przekleństwo własnej matki!

Gregoriska wyciągnął dłoń nad zwłokami zabitego i rzekł:

— Przysięgam, iż morderca zginie!

Przy słowach tej osobliwej przysięgi, której treść chyba tylko ja i zabity moglibyśmy pojąć — ujrzałem, lub raczej zdawało mi się — jak zaśła rzecz okropna: oczy trupa otwarły się i wpatrzyły we mnie z tak żywym wyrazem, jakiego nawet za życia nie dostrzegłem — i uczułem że to spojrzenie jak rozpalone żelazo przenika mię do głębi.

Było to za wiele na moje siły — wpadłam w omdlenie.

XV.

Klasztor Hango.

Jak długo trwałam w omdleniu, nie wiem. Przeszedłszy do przytomności znalazłem się w łóżku w swoim pokoju. Jedna z dwóch służebnic czuwała koło mnie.

Zapytałem, gdzie jest Smeranda; odpowiedziano, że czuwa przy zwłokach syna.

Następnie pytałem, co robi Gregoriska; powiedziano, iż jest w klasztorze Hango.

O ucieczce nie było już mowy. Czyż Kostaki nie był trupem? Nie mogło być też mowy o małżeństwie. Czyż mogłam zaślubić bratobójcę?

Trzy dni i trzy noce upłynęły mi wśród dziwacznych snów. Czy we śnie, czy na jawie, zawsze widziałam ową parę żywych oczu pośród martwego oblicza; była to grozy pełna zjawa,

Trzeciego dnia miał się odbyć pogrzeb Kostakiego. Rankiem tego dnia Smeranda przysłała mi całkowitą wdowią żałobną suknię. Ubrałam się i zesłam na dół.

Dom opustoszał — wszyscy byli w kaplicy.

Udałam się tam; wchodząc w próg spotkałam Smerandę, której trzy dni już nie widziałam.

Wyglądała, jak posąg boleści. Powolnym ruchem przycisnęło lodowato zimne wargi do mego czoła i głosem, jakby z grobu wychodzącym, rzekła żnów:

— Kostaki cie kocha!

Nie macie pojęcia, jakie wrażenie zrobiły te słowa na mnie.

To zapewnienie miłości zastosowane do teraźniejszości, zamiast do przeszłości; owo „kocha“ zamiast „kochał“, ta miłość pozagrobową, przesładowałą mię nadal za życia — przeraziła mię niesłychanie.

Równocześnie ośwładnęło mna osobliwe uczucie, jakobym w istocie była żoną zabitego, a nie narzeczoną żyjącego. Ta trumna pociągała mię ku sobie z nieprzepartą, tajemniczą siłą, podobnie, jak wąż przyciąga spojrzeniem ptaka. Oczywiście poszukałam Gregoriskii i ujrzałam go; błady niezmiernie — stał pod filarem, wzrok mając wzniesiony ku niebu. Nie wiem, czy mię widział.

Mnisi z klasztoru Hango otaczali zwłoki, śpiewając według greckiego obrządku psalmy, miejscami melodyjne, naogół jednak monotonne. Chciałam się modlić, lecz modlitwa nie mogła wyjść mi z ust. Mój umysł był zupełnie zniekany, zdawało mi się, iż uczestniczę w jakimś zebraniu demonów, nie w nabożeństwie zakonników.

Gdy podniesiono trumnę, chciałam iść za nią, lecz siły opuściły mnie. Czułam, że nogi uginają się podemną i wsparłam się o drzwi. Wtem pode-

szła do mnie Smeranda i skinieniem wezwała Gregoriskę.

Smeranda poczęła do mnie mówić po mołdawsku.

— Matka moja, — objaśnił Gregoriska, — każe mi powtarzać pani słowo za słowem — jej wyrazy.

Teraz Smeranda poczęła znów mówić, a gdy skończyła — syn jej rzekł:

— Proszę posłuchać mej matki:

— „Jadwigo, ty płaczesz za moim synem; kochałaś go, nieprawdaż? Dziękuję ci za twoje łzy i za twą miłość; pozostaniesz nadal moją córką, tak, jakby Kostaki był twoim mężem; odtąd masz tu matkę, ojczyznę, rodzinę. Przelejmy tyle łez, ile się zmarłemu należy — poczem będziemy obie godne tego, który odszedł od nas: ja, jako matka, ty jako żona. Bądź zdrowa, wróć do swego pokoju. Ja pójdę za synem na miejsce ostatniego spoczynku; po powrocie zamknę się sam na sam ze swą boleścią i zobaczysz mię dopiero wówczas, gdy ją opanuję. Bądź spokojna, zabiję w sobie ból, gdyż nie chcę, by on mnie zabił!

Na słowa te — przetłómaczone przez Gregoriskę — mogłam odpowiedzieć tylko westchnieniem.

Powróciłam do pokoju, podczas gdy orszak pogrzebowy wyruszył w drogę. Klasztor Hango leżał tylko pół mili od zamku w prostej linii, lecz nierówności terenu czyniły koniecznemi ciągle zakręty — tak że było dobre dwie godziny.

Listopadowe dni były zimne i krótkie. O godzinie piątej popołudniu zapadała już noc.

Około siódmej spostrzegłam pochodnie powracających z pogrzebu. Zabity spoczął w grobowcu ojców. Było już po wszystkim!

Wspomniałam wam już, jak osobliwe uczucia mną owładnęły, odkąd to krwawe zdarzenie pograżyło nas wszystkich w żałobę, a zwłaszcza od

chwili, gdy ujrzałam te martwe oczy otwierające się i utkwione we mnie. Tego wieczora pod wpływem wzruszeń przebytych w ciągu dnia, byłam bardziej przygnębiona, niż zwykle. Słyszałam godziny bijące na zegarze zamkowym i coraz większy smutek mną owładał, w miarę jak zbliżała się owa godzina, w której zginął Kostaki.

Ustyszałam bijące trzy kwadransy na dziewiątą.

Nagle opanowało mnie dziwne uczucie: Ciałem mem wstrząsnął dreszcz przerażenia, mrozący krew w żyłach; potem popadłam w nieprzewyciężoną senność, która ogarnęła me zmysły: na piersi czułam ucisk, oczy zamglily się, wyciągnęłam ramiona i już miałam osunąć się na łóżko.

Zmysły me nie były jednak zupełnie przyćmione, gdyż słyszałam jeszcze coś jakby kroki zbliżające się do drzwi; potem zdawało mi się, iż drzwi się otwierają — następnie już nie widziałam ani nie słyszałam nic.

Uczułam tylko dotkliwy ból na szyi.

Potem wpadłam w stan zupełnej martwoty.

Gdy się obudziłam, była już północ, lampa paliła się jeszcze. Chciałam powstać, lecz byłam tak osłabiona, iż dwukrotnie napróżno usiłowałam się podnieść. Wreszcie pokonałam tę dziwną słabość, jednakże poczułam znów ten osobliwy ból na szyi. Opierając się o ścianę zawlokłam się przed zwierciadło i spojrzałam w nie.

Na szyi, w tem miejscu gdzie się znajduje tętnica, znać było jakby małe ukłucie szpilki.

Pomyślałam sobie, że to może jaki owad ukąsił mnie podczas snu. Ulegając zmęczeniu położyłam się i zasnęłam.

Rano obudziłam się, jak zwykle i chciałam odrazu zerwać się z łóżka; wstrzymało mnie jednak tak wielkie osłabienie, jakie raz tylko w całym życiu odczułam, mianowicie gdy mi krew puszczano.

Spojrzawszy w lustro, przeraziłam się swoją bladością.

Dzień przeszedł smutno i ponuro. Doznawałam osobliwego znużenia. Gdzie byłam, tam chciałam pozostać; każda zmiana miejsca męczyła mnie.

Nadeszła noc; przyniesiono mi lampę. Służące ofiarowały się pozostać przy mnie, przynajmniej tak rozumiałam z ich ruchów i gestów, jednak odprawiłam je.

W tej samej porze, co poprzednio, uczułam te same objawy. Chciałam powstać i wołać o pomoc, lecz nie byłam w stanie dojść do drzwi. Usłyszałam zegar bijący głucho trzy kwadranse na dziewiątą — poczem ozwało się stapanie i drzwi się otwarły; więcej nic nie widziałam ani nie słyszałam, jak poprzedniego dnia — osunawszy się na łóżko.

Podobnie jak i wczoraj uczułam znów kłujący ból w tem samym miejscu. Zbudziłam się również o północy, lecz o wiele bledsza i bardziej wyczerpana, niż wczoraj.

Następnego rana ponowiło się toż samo przykre uczucie obezwładnienia.

Miałam już pomimo osłabienia zejść do Smerandy, gdy jedna z moich niewiast wszedłszy oznajmiła, iż Gregoriska mię chce widzieć.

Jakoż wszedł i on za nią.

Chciałam się podnieść na powitanie, lecz bezwładnie opadłam na krzesło.

Ujrzawszy to, krzyknął i biegł na pomoc; lecz miałam na tyle siły, iż ruchem ręki wstrzymałam go, pytając:

— Co pan tu robi?

— Ach, — westchnął, — chciałem się z panią pożegnać i powiedzieć, iż porzucam ten świat, nieznośny dla mnie bez twego widoku i twej miłości — że wstępuje do klasztoru Hango.

— Widoku mego pozbawiono cię, Gregorisko — lecz nie mej miłości. — Ach, będę cię zawsze kochała i to tylko ból mi sprawia, że teraz miłość ta będzie przestępstwem.

— A więc mogę się spodziewać, iż będziesz się modliła za mnie, Jadwigo?

— O tak, tylko że i modlić się już nie będę mogła długo — odparłam ze słabym uśmiechem.

— Co to ma znaczyć? Istotnie ta bladość...

— To znaczy... iż Bóg ulitował się nademną i wzywa mię do Siebie!...

Gregoriska zbliżył się do mnie i ujął za rękę, — poczem, wpatrując się we mnie uważnie, zapytał:

— Ta bladość nie jest naturalna! skąd ona pochodzi, Jadwigo? mów!

— Jeśli ci powiem, Gregorisko, będziesz mnie uważał za szaloną.

— Nie, nie, Jadwigo, mów, zaklinam cię; znajdujemy się w kraju, niepodobnym do innych, i wśród rodziny, która też do innych niepodobna. Mów, wyjaw wszystko, błagam Cie!

Opowiedziałam mu wszystko: owo zamroczenie zmysłów, pojawiające się w godzinę, w której umarł Kostaki, — drżenie i lęk, lodowate zimno, osuwanie się na łóżko, ów odgłos zbliżających się kroków, domniemane otwierania drzwi i wreszcie ten kłujący ból oraz następującą po wszystkim coraz większą bladość i osłabienie.

Sądziłam, iż moje opowiadanie wyda się Gregorisce początkiem obłąkania i kończyłam te słowa z pewnem zmieszaniem; przeciwnie jednak, spostrzegłam, iż słucha mię z rosnącym zainteresowaniem.

Gdy skończyłam — rozważał chwile w milczeniu.

— A więc, — zapytał, — zasypiasz każdego wieczora o trzy kwadransy na dziewiątą?

zwyciężyć uczucie senności.

— Tak jest, mimo iż czynię, co mogę, by prze-

— Potem zdaje ci się, że drzwi się otwierają?

— Tak, chociaż zawsze zasuwam rygle.

— Odczuwasz kłujący ból na szyi?

— Tak, choć zaledwie widać ślad rany.

— Pozwól, iż to obejrze.

Wykręciłam głowę, by mógł się ranie przyjrzeć.

— Jadwigo — rzekł po chwili — zbadawszy ranę — czy masz do mnie zaufanie?

— I o to pytasz?

— Czy wierzysz we mnie?

— Jak w świętą Ewangielję!

— A więc, Jadwigo, daję słowo, przysięgam ci — że ani ośmiu dni nie przeżyjesz, jeśli zaraz nie uczynisz tak, jak ci powiem!

— A jeśli zechcę to uczynić?

— Jeśli tak uczynisz, — to może będziesz uratowana.

— Może?

Na to pytanie nic nie odrzekł.

— Cokolwiek się stać ma, Gregorisko, zrobię wszystko, co zechcesz.

— A zatem, posłuchaj mię, przedewszystkiem zaś — nie lękaj się. W kraju waszym, oraz na Węgrzech i w naszej Rumunji istnieje pewne wierzenie...

Zadrżałam, gdyż owo wierzenie przyszło mi właśnie na myśl.

— Ach, — już wiesz, o czem chcę mówić?

— Tak jest, — widziałam w Polsce ludzi, podległych temu straszному przeznaczeniu.

— Chcesz mówić o wampirach, nieprawdaż?

— Tak, będąc jeszcze dzieckiem widziałam, jak na cmentarzu wioski, należącej do mego ojca, wykopano zwłoki czterdziestu ludzi, zmarłych w ciągu czternastu dni, niewiadomo z jakiego powodu. Z pośród tych trupów, siedemnaście nosiło wszel-

kie oznaki wampiryzmu, to jest trupy były świeże, rumiane i podobne do ludzi żyjących — inne zaś były ofiarami poprzednich.

— A co zrobiono, by ludność uwolnić od nich?

— Wbito każdemu pal w serce i potem spalono trupa.

— Tak, w ten sposób postępuje się w takich razach, lecz u nas to nie wystarcza. By cię uwolnić od demona, chcę go w pierw poznać i przebóg! znać go. Tak, jeśli zajdzie potrzeba, to ktokolwiek on jest, będę z nim walczył!

— O Gregorisko! — zawołałam przerażona.

— Rzekłem: ktokolwiek on jest — i powtarzam to raz jeszcze!... By jednak to przedsięwzięcie udało się pomyślnie, musisz zgodzić się na wszystko, czego od ciebie zażadam.

— Mów.

— O godzinie siódmej bądź gotowa — wejdź do kaplicy — i to sama. Musisz to osłabienie pokonać, Jadwigo! Musisz! W kaplicy ksiądz pobłogosławi nasz związek. Zgódź się na to, droga moja. By cię bronić, muszę przed Bogiem i ludźmi mieć do tego prawo. Będziemy przez to lepiej uzbrojeni w walce, która nas czeka!

— O Gregorisko! — zawołałam — a jeśli to on jest, jeśli cię zabije?!

— Nie bój się, droga Jadwigo moja! tylko zgódź się.

— Wszak wiesz, iż uczynię wszystko, co zechcesz, Gregorisko!

— A więc — dziś wieczór!

— Tak jest — ze swej strony postąpię, jak uważasz za stosowne, ja wedle sił moich będę ci pomagała. A teraz idź!

Odszedł. W kwadrans później widziałam jeźdźca pędzącego drogą ku klasztorowi — to był on.

Zaledwie go straciłam z oczu, padłam na kola-

na i modliłam się, nie tak jak modlą się w tym kraju — gdzie niema już wiary. Oczekując siódmej godziny, ofiarowałam Bogu i Jego Świętym myśli swoje. Podniosłam się dopiero z uderzeniem siódmej.

Byłam śmiertelnie osłabioną i blada, jak trup. Zarzuciwszy na głowę obszerny, czarny welon, zeszłam na dół, trzymając się ścian i nie spotkawszy nikogo po drodze, udałam się do kaplicy.

Gregoriśka oczekiwał mnie tu w towarzystwie ojca Bazylego, przeora klasztoru Hango. Przy boku jego wisiał poświęcony miecz, spuścizna po krzyżowcu, który wspólnie z Ville-Hardouinem i Baldwinem z Flandrii zdobywał Konstantynopol.

— Jadwigo! — przemówił, ręką uderzając po mieczu, — to żelazo z pomocą Bożą zniweczy moc, która twemu życiu zagraża. Pójdź więc śmiało; ten oto światobliwy mąż, wysłuchawszy mej spowiedzi — odbierze teraz nasze ślubowanie!

Rozpoczął się obrzęd ślubny; nigdy chyba nie był on tak prosty i zarazem uroczysty. Nikt nie pomagał popu: on sam włożył wieńce ślubne na nasze głowy. Oboje w żałobie, trzymając świece woskowe w rękę — okrażyliśmy ołtarz, poczem zakonnik pobłogosławił nas, mówiąc:

— A teraz idźcie, dzieci moje! Bóg niech wam użytych odwagi i mocy w walce z wrogiem rodzaju ludzkiego. Ubrojeni w niewinność i prawosć, pokonacie szatana; idźcie i bądźcie błogosławieni!

Ucałowawszy świętą księgę, wyszliśmy z kaplicy.

Po raz pierwszy wsparłam się na ramieniu Gregoriskim i poczułam, iż przy dotknięciu tego silnego ramienia życie mi powraca. Byłam pewna zwycięstwa, bo Gregoriśka był przy mnie.

Weszliśmy do mego pokoju; było właśnie wpół do dziewiątej.

— Jadwigo — rzekł Gregoriska — nie mamy chwili czasu do stracenia. Czy chcesz zasnąć jak zwykle, by wszystko zdało ci się tylko snem, czy też chcesz czuwać i widzieć?

— Przy tobie nie lękam się niczego; chcę czuwać i widzieć, co nastąpi!

Gregoriska wydobyl z zanadru gałązkę poświęconej palmy, jeszcze mokrą od wody święconej i dał mi ją, mówiąc:

— Weź tę gałązkę, połóż się na łóżku, odmów modlitwę do Najświętszej Panny i czekaj bez trwogi. Bóg jest z nami. Przedewszystkiem nie upuść tej gałązki; z nią możesz rozkazywać nawet piekłu. Nie wołaj na mnie, nie krzycz; módl się, miej nadzieję i czekaj.

Położyłam się na łóżku, skrzyżowawszy ręce na piersi, na której położyłam poświęconą gałązkę.

Gregoriska ukrył się za baldachimem, stojącym w kącie pokoju.

Liczyłam minuty, a z pewnością liczył je i Gregoriska.

Wybiły trzy kwadransy.

Jeszcze nie przebrzmiało ostatnie uderzenie, a już odczułam zwykłą grozę, dreszcz i lodowate zimno; gdy zbliżyłam gałązkę do ust, uczucie to znikło.

Następnie usłyszałam całkiem wyraźnie odgłos powoli zbliżających się, miarowych kroków.

Potem drzwi otwarły się zwolna, bez szmeru, jakgdyby je otwarła jaka moc nadprzyrodzona, a potem...

Tu głos opowiadającej zamarł nagle, jakby zdławiony.

— A potem — ciągnęła z wysiłkiem — ujrzałam Kostakiego, tak bladego, jak wówczas, gdy leżał na marach; jego długie, czarne włosy, spływające na ramiona — przesiąknięte były krwią, miał

na sobie zwykły ubiór, który otwarty na piersiach ukazywał krwawiącą ranę...

Wszystko to było trupie: ciało, ubiór, chód — lecz oczy, te straszne oczy — były żywe...

Dziwna rzecz, iż na ten widok przestrach mój nie zwiększył się, owszem — wzrosła odwaga. Zapewne Bóg im ją zesłał — abym mogła widzieć swe położenie i bronić się przeciw piekielnej mocy.

Gdy widmo postąpiło ku memu łóżku, utkwiliam śmiało spojrzenie w tych ołowianych oczach i wyciągnęłam poświęcane ziele przed siebie.

Upiór chciał iść dalej, lecz o wiele potężniejsza władza ubezwładniła jego kroki. Wyszeptał tylko:

— Ha, ona nie śpi, wie wszystko!

Mówił po mołdawsku, a jednak rozumiałam każde słowo, jakby było wyrzeczone w zrozumiałym języku.

Tak staliśmy naprzeciw siebie, ja i widmo, od którego nie mogłam oderwać oczu; wtem, nie odwracając głowy, ujrzałam Gregoriskę występującego z za baldachimem, z mieczem w dłoni, jak archanioł. Lewą ręką uczynił znak krzyża i zwołna postąpił ku upiorowi, który, ujrawszy brata, roześmiał się dziko i również wydobył szablę z pochwy. Za ledwie jednak szabla jego dotknęła ostrza poświęconego miecza, ramię widma opadło bezwładnie.

Kostaki wydał westchnienie pełne bólu i rozpaczy.

— Czego chcesz? — jęknął.

— W imię Boga żywego, zaklinam cię, odpowiadaj mi — rzekł Gregoriska.

— Mów — odparło widmo, zgrzytając zębami.

— Czy oczekiwałem na ciebie?

— Nie.

— Czy cię napadłem?

— Nie.

— Czy cię przebiłem?

— Nie.

— Sam się rzuciłeś na mój miecz, oto wszystko. A więc wobec Boga i ludzi jam nie winien przelania krwi braterskiej. Ciebie nie Bóg, lecz szatan tu przysyła. Wyszedłeś z grobu nie jako święty cień, lecz jako przeklęty upiór — i pójdiesz napowrót do grobu.

— Tak, z nią! — zawołał Kostaki robiąc wysiłek, aby dotrzeć do mnie.

— Nie, sam! — Ta kobieta do mnie należy!

I mówiąc te słowa, końcem miecza dotknął otwartej rany wampira.

Kostaki krzyknął, jakby porażony ognistym mieczem, chwycił się za pierś i cofnął się o krok.

Równocześnie, jakby idąc za ruchami przeciwnika — Gregoriska postąpił krok naprzód, a utkwivszy wzrok w oczach widma — skierował ostrze miecza ku piersi brata — i tak rozpoczęła się powolna, straszna scena, jak między Don Juanem a Komandorem: Upiór cofał się przed poświęconym mieczem, przed nieprzewycięzoną wolą boskiego zapaśnika; ten drugi szedł za nim krok w krok w milczeniu, obaj ciężko dysząc, obaj śmiertelnie bladzi. Żywy parł zmarłego przed sobą, zmuszając go opuścić zamek, będący niegdyś jego mieszkaniem i wracać na wieki w ciemny grób.

O, przysięgam wam, iż okropną rzeczą było patrzeć na to.

Jakby pod wpływem jakiejś wyższej, niewidzialnej i nieznannej mocy i nie zdając sobie sprawy z tego co czynię — powstałam i szłam za nimi. Zeszliśmy po schodach, oświetlonych tylko jarzącymi się oczyma Kostakiego, mineliśmy galerję i bramę: widmo wciąż postępując tyłem, Gregoris-

ka z ramieniem naprzód wyciągniętem, a ja zamykając pochód.

To fantastyczne posuwanie się trwało godzinę. Zmarły musiał być wpędzony w swój grób. Zamiast iść zwykłą drogą obaj bracia przecinali teren naprzelaj, nie bacząc na wszelkie przeszkody, nie istniejące dla nich: pod ich nogami wyrównywała się ziemia, zasychały potoki, rozstępowały się drzewa i skały. Ten sam cud działał się i z mną, lecz niebo wydawało mi się jakoby czarnym welonem zakryte, księżyc i gwiazdy zniknęły, widziałam tylko w mroku nocy świecące, płomienne oczy wampira.

Tak doszliśmy do Hango i przebyliśmy mur cmentarny. Tutaj dostrzegłam odrazu grób Kostakiego, stojący obok mogiły jego ojca. Choć nigdy tego grobowca nie widziałam, poznałam go jednak natychmiast. Zaiste tej nocy wiedziałam wszystko.

Gregoriska zatrzymał się na brzegu otwartego grobowca i rzekł:

— Kostaki! jeszcze nie wszystko dla ciebie stracone i głos niebios mówi mi, że znajdziesz łaskę, jeśli okażesz skruchę; czy przyrzekasz nie wychodzić zeń więcej i okazać Bogu tę cześć, którą dotychczas oddawałeś piekłu?

— Nie! — odparł Kostaki.

— Żałujesz? — pytał Gregoriska.

— Nie!

— Po raz ostatni, Kostaki!

— Nie!

— A więc, jak ja przyzywam Boga na pomoc — tak ty wezwij szatana a obaczmy, kto zwycięży!

— Rozległy się równocześnie dwa okrzyki i miecze skrzyżowały się, syjąc iskry. Walka trwała minucie, która wydawała mi się wiecznością.

Kostaki padł; widziałam, jak straszny miecz

podniósł się i pogrążył w jego ciele, wbijając je w świeżo wyrzuconą ziemię.

Krzyk, nie mający w sobie nic ludzkiego, przesył powietrze.

Podbiegłam bliżej.

Gregoriska stał, lecz chwiał się na nogach.

Pochwyciłam go w ramiona, pytając z trwogą:

— Czy jesteś ranny?

— Nie, droga Jadwigo, — lecz w takim pojedynku nie rana zabija, jeno walka sama. Walczyłem ze śmiercią, — padam ofiara śmierci.

— Drogi mój! — pójdź, oddał się stąd, a może życie powróci.

— O nie! to jest mój grób, Jadwigo. — Ale nie traćmy czasu: weź trochę ziemi, przesiakniętej jego krwią i przyłóż do rany, która ci zadał. To jest jedyny środek, aby cię nadał uchronić przed jego potępińczą miłością.

Uśluchałam ze drżeniem. Schyliwszy się, ujrzałam trupa, przybitego do ziemi: poświęcony miecz przeszył mu serce nawskroś, a z rany ciekła obficie czarna krew, jakgdyby śmierć dopiero co nastąpiła.

Zebrałam trochę ziemi z krwią i przyłożyłam ten straszny talizman na ranę.

— A teraz, moja ubóstwiana Jadwigo, — rzekł Gregoriska słabym głosem, — uważaj dobrze na me ostatnie słowa: opuść możliwie szybko ten kraj! Jedynie oddalenie zapewni ci bezpieczeństwo. Ojciec Bazyli odebrał dziś rozporządzenie mej ostatniej woli i wykona ją. Jadwigo, ucałuj mię — raz jeden, jedyny — i ostatni! Jadwigo! — umieram!...

Po tych słowach upadł obok zwłok brata.

W innych warunkach — na widok tego cmentarza, tego otwartego grobu i dwóch obok leżących trupów byłabym chyba oszalała. Lecz, jak

rzekłam poprzednio, Bóg użyczał mi siły do zniesienia tych okropności, których byłam nietylko świadkiem, lecz i uczestniczką.

Gdym chciała już wzywać pomocy, — drzwi klasztorne otwarły się i zakonnicy, z ojcem Bazylim na czele, wyszli parami, niosąc płonące pochony i intonując żałobny śpiew.

Oblicze Kostakiego było wskutek ostatnich konwulsyj całkiem wykrzywione.

Gregoriska natomiast leżał spokojny i prawie z uśmiechem na ustach.

Stosownie do jego woli, pochowano go obok brata: chrześcijanin miał czuwać nad potępionym.

Smeranda, dowiedziawszy się o tem nowem nieszczęściu i o mojej w niem roli, chciała się widzieć zemną. Odwiedziła mnie w klasztorze Hango i z ust mych usłyszała opis wszystkiego, co się działo w ciągu tej okropnej nocy.

Opowiedziałam jej z wszelkiemi szczegółami tę fantastyczną historię. Słuchała mnie, jak niegdyś Gregoriska, bez zdziwienia lub przerażenia.

— Jadwigo, — rzekła po krótkim milczeniu, — jakkolwiek osobliwe to są rzeczy, które opowiedziałas — jednak wszystko to szczerą prawdą. Imię Brankowanów jest przeklecie do trzeciego i czwartego pokolenia, ponieważ jeden z nich zabił kapłana. Lecz już kres przekleństwu, bo choć zamężna — pozostałaś dziewicą i ród nasz wygaśnie. Jeśli ci mój syn zapisał miljonowy majątek, to przysięgnij go. Po mojej śmierci, odliczywszy kilka pobożnych legatów — otrzymasz resztę mego majątku. Teraz zaś usłuchaj rady meża — wracaj prędko do kraju, gdzie Bóg nie dopuści, aby te straszne wróżby się spełniły. Nie potrzeba mi nikogo, by opłakiwał synów. Bolesć ma wymagać samotności. Bądź zdrowa i nie troszcz się więcej

o mnie. Me życie należy odtąd tylko do mnie i do Boga!

Pocałowawszy mię, jak zwyczajnie, w czoło — odeszła, by zamknąć się w zamku Brankowan.

W ośm dni po tych wydarzeniach wyjechałam do Francji. Jak to przewidział Gregoriska — nocie moje nie były odtąd niepokojone pojawianiem się straszego widma. Nawet zdrowie wróciło mi w zupełności i z całej tej przygody pozostała tylko ta śmiertelna bladość, jaką zachowuje aż do grobu każdy człowiek, który otrzymał pocałunek wampira....

Błada dama umilkła. Północ wybiła i rzecz moję najodważniejszy z nas zadrżał na dźwięk zegara.

**
**

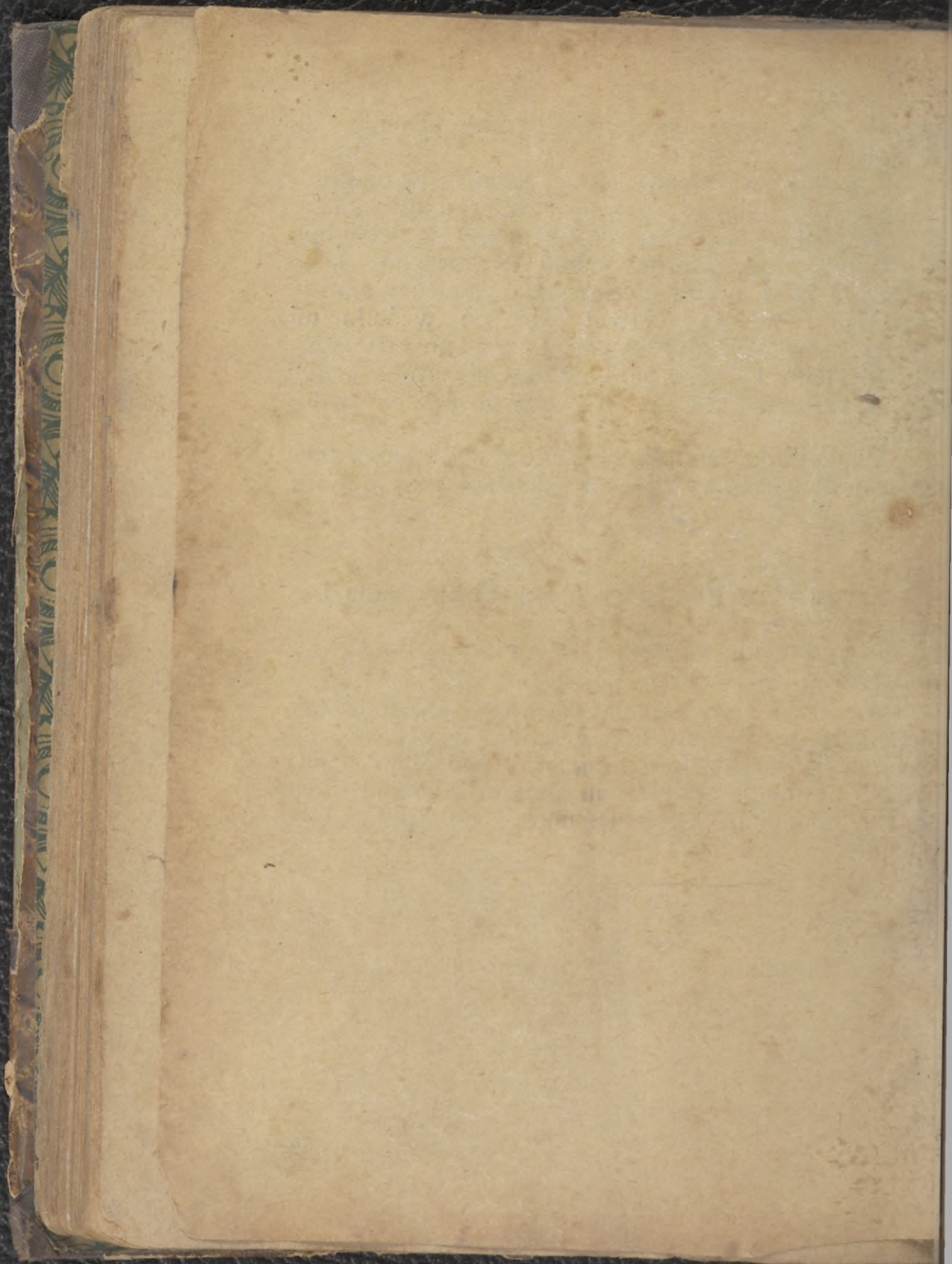
Z powodu późnej pory pożegnaliśmy pana Ledru i wyszliśmy.

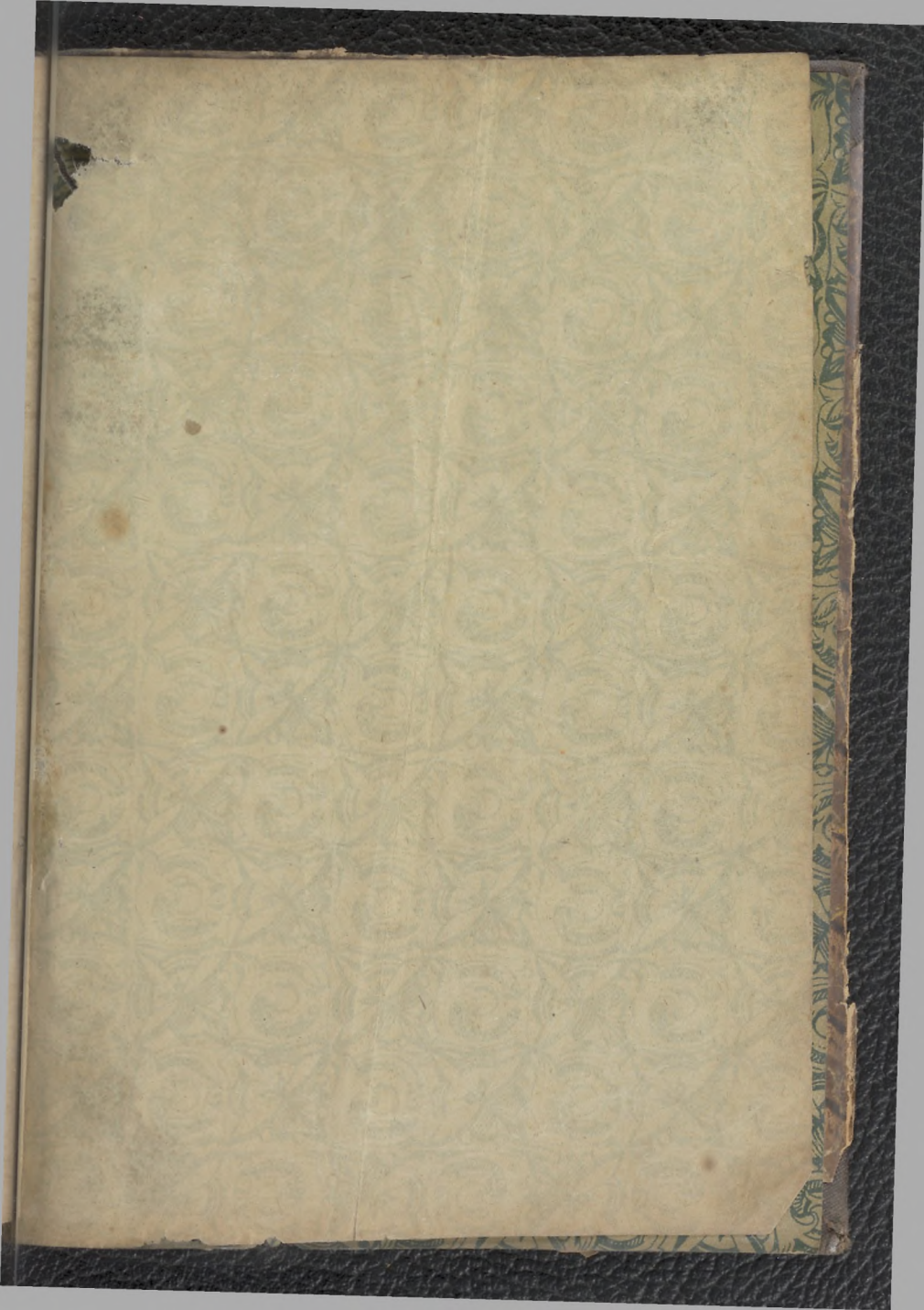
Nie zdarzyło mi się już potem być w Fontenay-aux-Roses.

Ale owe opowiadania wywarły na mnie tak niezatarte wrażenie i tak głęboko wryły mi się w pamięć, że postanowiłem przy sposobności podzielić się nimi z szerszym ogółem interesujących się zagadnieniami życia i śmierci, co też czynię obecnie.

KONIEC.









Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001027377282

3.104.549